MUZYKANT.



WARSZAWA.

NAKŁAD HIERONIMA COHNA.

1900.

MUZYKANT.

Muzykant.

ROMANS Z ŻYCIA ŻYDOWSKIEGO

przez

SZALUM-ALECHEMA.

Tłumaczył z Żargonu

Henryk Lew.

WARSZAWA.

NAKŁAD HIERONIMA COHNA.

1900.

Дозволено Цензурою
Варшава 13 Іюля 1899 г.

I.

Rodowód „Stempeniu".

Stempeniu? Co za dziwne imię!

Nie, moi państwo, to nie imię, to przezwisko, które dostało mu się w spadku po ojcu. Błogosławionej pamięci ojciec jego, Berek Bas, albo też Berek Stempenier, grał na basie i był zarazem dobrym „badchenem" (marszelikiem) i wybornym wierszokletą,—przebierał się na weselach za żebraka, chłopa, przewracał oczyma, tańczył jak niedźwiedź, udawał chorą żydówkę... albo też ni ztąd ni zowąd wylewał na podłogę szaflik z wodą, tak, że obecni na weselu mężczyźni musieli zaginać poły u kapot, a kobiety uginać sukienek..., lub też płatał inne figle dla rozśmieszenia i zabawienia gości weselnych. Najczęściej zaś przedstawiał coś w rodzaju sztuki teatralnej p. t. „Stempeni" i dla tego zwano go „Berek Stempenier", a jedyny syn jego, Jankielek, otrzymał przezwisko „Stempeniu", które mu pozostało już na całe życie.

A zatem „Stempeniu", jakem to już wyżej zaznaczył, jest to przezwisko, otrzymane przez Jankielka w spadku po bł. p. pamięci ojcu swoim Berku Bas (oby dusza jego w raju spoczywała!), który był muzykantem i grał na basie; ojciec Berka, Szmul Tromajt, grał na trąbie, dziadek jego, Fajwuś Cymbler, grał na cymbałach, a pradziadek, Froim Fagot... Słowem, Stempeniu, pochodził od muzykantów z dziesiątego pokolenia — i wcale się tego nie wstydził jak to, między nami mówiąc, u nas żydów bywa, że każdy rzemieślnik wstydzi się i gardzi swym fachem. I wreszcie w tem niema nic dziwnego—taka sława, jaką cieszył się Stempeniu w Mazepówce, tak rozgłośne imię na całym niemal świecie—to nie żarty!

Łatwo sobie powiedzieć—Stempeniu!

Wszędzie u żydów największym było zaszczytem słyszeć Nisena Belzera z Chmielnicka śpiewającego, Gudika - badchena z Gontojarska, improwizującego, i Stempeniu z Mazepówki, grającego na skrzypcach. Łatwo chyba każdy z tego wywnioskuje, że Stempeniu nie był to jakiś zwykły „klezmer" (muzykant), jakiś „byle-kto", lecz że na tak rozgłośne imię musiał sobie niezawodnie zasłużyć.

Żydzi lubią muzykę i znają się na muzyce — temu chyba żaden z wrogów naszych

nie zaprzeczy. Chociaż z drugiej strony rzecz tę rozważając, żydom dość rzadko wypada słyszeć muzykę, bo wreszcie czyż mamy kiedy powód, do takiej wesołości, ażeby się nam aż śpiewów lub tańców zachciewało? Jednakże, mówcie sobie, co chcecie, pomimo to jesteśmy znawcami czy to gry, czy śpiewu, czy też innych rzeczy, jak naprzykład— pereł, win, jabłek rajskich i t. p... Gdy zajeżdża do nas „chazen", jakiś znany „chazen", drzemy się o bileta, oddalibyśmy wszystko, aby go tylko módz słyszeć, cóż dopiero mówić o dobrej kapeli znanych „klezmerów"! Posłuchać jak kapela gra na weselu jakiś smętny „kawałek" przy „złotym rosole"*) przecież za to „worek z barszczem" byśmy oddali.. Wszyscy siedzą spokojnie, a „klezmerzy" grają coś smutnego, coś „moralnego", coś rzewnego; skrzypce jęczą i płaczą, zawodzą dziwne jakieś żale. a wtóruje im kapela dziwnie smutnie.. Tłum cały ogarnia melanholja, każdy siedzi zafrasowany, zasmucony, nawet jakoś mile zasmucony, jednakże każdy w zamyśleniu nos opuszcza na kwintę i palcem trąc o talerz lub gniotąc gałki ze świeżej chały, zanurza się w swo-

---

*) Na weselu młoda para w oddzielnym pokoju spożywa pierwszą wspólną wieczerzę, złożoną z rosołu i mięsa,—wieczerzę tę zowią „złotym rosołem."

ich myślach, w myślach niewesołych; o! bo tych żydom nie brak, smutku i trosk żyd nie ma potrzeby pożyczać!... I zlewają się w jedno smętne, żałosne tony ze smutnemi myślami, a każdy jęk skrzypiec „tiuch-tiuch-tiuch!” znajduje oddźwięk w zbolałych sercach gości weselnych.

Serce ludzkie w ogóle, a żydowskie w szczególności, to skrzypki; naciśnij strunę a wydobędziesz najrozmaitsze tony, najróżnorodniejsze piosenki, najczęściej smutne i rzewne—ale do tego musisz być zdolnym, takim, jakim był Stempeniu.

A był to istotnie grajek nielada! Chwyta bywało za skrzypce, pociągnie smykiem, raz tylko pociągnie, nie więcej, a skrzypki już mówić poczynają... A jak mówią! mówią, kieby żywy człowiek, prawią o czemś wielkiem, tajemniczem, i śpiewają tak jakoś po naszemu, po żydowsku, z jękiem, płaczem i krzykiem, wydobywającym się z głębi duszy!... A Stempeniu głowę na bok zarzuca, czarne kędziory spadają mu na ramiona, oczy, te czarne iskrzące się oczy zadziera do góry, twarz staje się coraz bledszą i bledszą, przyjmując coraz bardziej trupią jakąś barwę... Ot, chwila jeszcze—i nie będzie już Stempeniu! I widzisz tylko, jak ręka jego płynie do góry i na dół i słyszysz najrozmaitsze głosy, i wlewają się w twą du-

szę całe potoki melodji, a wszystkie takie żałośliwe, takie smętne, że aż za serce chwytają, duszę wyciągają, zdrowie odbierają... I słuchacze sił już nie czują, konają, umierają, serca ich przepełnione, łzami zmoczone, a z ócz zwilgotniałych leją się łzy gorące... I żydzi wzdychają, żydzi jęczą, żydzi płaczą...

A Stempeniu?... jaki tam Stempeniu? gdzie Stempeniu? a czyż on wie nawet, na jakim jest świecie! — on tylko swoje robi „tiuch-tiuch!" — i nic więcej! a gdy kończy, rzuca skrzypki i ręką za serce się chwyta, a oczy mu się iskrzą, jak dwie „hawdule", a twarz mu, jak słońce, promienieje. I budzą się wszyscy jakby ze snu, ze snu smutnego, lecz miłego, i wszyscy jednogłośnie wyrażają swe zachwyty: wzdychają, chwalą, podziwiają, wychwalić się nie mogą...

— N-ny, Stempeniu! oj, Stempeniu!..

A kobiety? o tych mowy już niema, — wątpić czy w sądny dzień tyle łez wylewają, co przy smutnych „kawałkach" Stempeniu; nad zburzeniem świątyni jerozolimskiej tyle płakać nie potrzeba, ile płaczą, gdy gra Stempeniu!...

— Oby dał Pan Bóg, żebym na wesele córki mojej mogła sprowadzić Stempeniu!

Tego sobie mniej więcej życzą starsze kobiety, wycierając opuchłe od płaczu oczy...

A dziewczęta i panny — te pozostają jakby do miejsc przykute, w patrzone w Stempeniu i jego cudne skrzypce, i stoją, jakby skamieniałe; tylko gdzieś po tamtej stronie gorsetu bije serduszko — „tik-tik tik“ i z piersi wyrywa się tajone westchnienie...

II.

Stempeniu i jego kapela.

Zamieszania i wielkiego zainteresowania, jakie budził Stempeniu, przybywając do jakiego miasteczka, wprost opisać niepodobna.

— Sza! ot widać tam daleko jakąś „budę” w ctzery konie, to pewnie rodzice państwa młodych, co?

— Nie, to „klezmerzy“, to właśnie Stempeniu ze swą kompanją.

— Co? kto? Stempeniu przyjeżdża? A to dopiero huczne wesele wyprawia Chaim-Benzion Glok, niech go djabli...

Mężateczki się rumienią, dziewczyny biorą do przystrajania się, chłopcy zakasują poły po łydki, i wszyscy lecą na spotkanie Stempeniu; nawet poważni żydzi, żonaci, brodaci, zacierają ręce z radości, że Stempeniu przyjechał.

Zanim buda zbliża się do zajazdu, na ulicy pełno już ludzi: każdy ciekaw zobaczyć Stempeniu i jego kompanję.

— Patrzcie no, jak się pchają — krzyczy każdy, pchając się sam naprzód, jak to u nas żydów zwykle bywa — patrzcie-no, jak ten pracuje łokciami i chce koniecznie być pierwszym! czegoście to nie widzieli? cóż tu ciekawego znów? — „klezmerzy”, jak wszyscy „klezmerzy”!

Tak prawi każdy oddzielnie, pchając się pomimo to gwałtownie naprzód ku budzie, z której zaczynają się wysuwać muzykanci jeden po drugim.

Przedewszystkiem wyłazi reb Jekiel Kontrabas (który gra na kontrabasie), surowy starzec z przepołowionym nosem i kawałami waty w uszach; po nim wysuwa się reb Lejbuś z klarnetem, zaspany żydek o grubych wargach; następnie—Chajkiel Horbecz, ten słynny Chajkiel-badchen; potem — czarny kołtunowaty żyd, strasznie obrośnięty, jakby dziki człowiek z pustyni, i z tak długiemi gęstemi brwiami, że aż człowieka strach ogarnia, to reb Szneir-Meir, wtórujący; po nim wyskakuje kilku chłopców o jakimś dziwnie dzikim wyglądzie, są to uczniowie „klezmerowscy”, którzy z czasem mogą się wyrobić na zdolnych muzykantów;—a na samym końcu wysuwa się na krzywych wygiętych nóżkach, rudy Mechel Pajkler z bębnem znacznie od niego większym... Łobuzerja, łatwo się domyśleć, nie próżnuje,—co

chwila podkrada się inny, uderza w bęben, albo pociąga za strunę kontrabasu, za co najczęściej otrzymuje w nagrodę uderzenie smykiem w głowę, plecy lub gdzie popadnie.

A na ulicy ruch coraz większy i coraz większe ożywienie;—ot, przyjechał już i narzeczony, a z nim pół setki bachurów, którzy wyjechali na spotkanie, — i miasteczko Chmielnick pełne teraz życia, radości i wesela!..

Tak się dzieje w Chmielnicku, tak samo w Gontojarsku i we wszystkich miasteczkach, które spotyka zaszczyt przyjazdu Stempeniu; tak samo bywa i w Mazepówce, gdzie Stempeniu osiadł na stałe ze swą kapelą. Jednem słowem, imię Stempeniu rozgłośne na całym świecie.

III.

Przygotowania.

— Cóż to za radość wielka w Mazepówce? Reb Chaim-Benzion Glok wydaje za mąż najmłodszą córeczkę swą Ryfkę, czyż nie ma więc słusznego powodu do radości? Warto dalibóg być na tem weselu: zawsze pierwszy to bogacz w miasteczku.

Wszyscy będą na weselu, ten z przyjaźni, tamten z zazdrości, jeden ot tak, aby się pozbyć, drugi znów, ażeby zaprezentować

żonine perły, kolczyki, albo nową kolję, którą przywiózł jej z jarmarku, ale większość idzie tylko dla Stempeniu. Słowem, wszyscy są na weselu! Cała Mazepówka przybyła na wesele najmłodszej córeczki reb Chaima Glock! A cóż dopiero mówić o Ajzyku-Naftulim z żoną i dziećmi, ci tembardziej, — primo, Ajzyk-Naftuli jest wspólnikiem Chaima Glok do sklepu i do młyna a w dodatku jest z nim nieco spokrewniony, ponieważ żona Ajzyka jest trochę skuzynowaną z matką panny młodej — siódma woda po kisielu!

I dla tego właśnie kręci się po pokoju żona Ajzyka, Dwosia - Małka, wystrojona, i krząta się, niczem matka państwa młodych; nic, rozumie się, nie robi, ale macha rękami, krzyczy, hałasuje, przysiągłbyś, że bez niej rady by sobie nie dano. A synowa Dwosi-Małki, piękna Ruchele, stoi obok narzeczonej, wystrojona i wyfiokowana, niczem córka królewska; duże jej niebieskie oczy jaśnieją niby dwa brylanty, a różowiutkie policzki promienieją, jak dwie róże kwitnące; jedną ręką trzyma warkocz narzeczonej, drugą głaszcze białą swą szyję, nie czując wcale, że para czarnych oczu ognistych śledzi za nią przez cały czas bezustanku...

„Sarwerzy" (podający do stołu) i „sarwerki" biegają po pokoju, jak zatrute my-

szy; rodzice państwa młodych krzyczą: „Oj gwałtu, czas już nakrywać narzeczoną! dopókiż będziemy jeszcze morzyli biedne nasze dzieci, które nic w ustach nie miały cały dzień, taki cały długi letni dzień!".. Wszyscy wołają: „czas już! już czas dalibóg!"—ale nikt nie robi.

Ajzyk-Naftuli kręci się po pokoju w aksamitnej czapce, ręce w tył założywszy, a Dwosia-Małka drze się w niebogłosy; reszta krewnych państwa młodych biega po pokoju z wyciągniętemi rękoma, jak gdyby chcieli coś robić, ale im nie dano.

— Ny, dlaczego się nic nie robi?—pytają krewni narzeczonego.

— Co to jest, że się nic jakoś nie robi? —odpowiadają krewni narzeczonej.

— Któż to słyszał, żeby głodne dzieci tak długo trzymać?—krzyczą krewni narzeczonego.

— Słyszane to rzeczy, żeby tak długo trzymać głodne dzieci?—odpowiadają krewni narzeczonej.

— Czemu tak się kręcą tam i z powrotem?

— Co to znowu za kręcenie się?

I wszyscy biegają, wszyscy kręcą się i wszyscy stoją na jednem miejscu—ładne porządki!

— Aby tylko biegać, hałasować, ale robić nikt nie chce.

— Możeby już dosyć było tej gadaniny i tego krzyku? już chyba czas wziąć się do roboty? przecież to się kiedyś musi skończyć!

— No, już dosyć tego gadania! trzeba coś zacząć robić, inaczej to się nigdy nie skończy!

— Gdzie są „klezmerzy"? - pytają krewni narzeczonego.

— „Klezmerzy" gdzie są?—odpowiadają krewni narzeczonej.

A „klezmerzy" tymczasem zajęci swoją robotą: smarują smyki, ustawiają instrumenty, reb Jukiel Bas podnosi chłopca do góry za uszy, grożąc: „ja ci, bękarcie pokażę, jak to się ciągnie za struny!" Mechel Pajkler drapie się w brodę; reb Chajkiel-badchen rozmawia ze znajomym „melamendem", od którego bierze niuch tabaki i sypie dowcipami, jak z worka dziurawego; a reszta muzykantów stoi przy Stempeniu i rozmawia z nim w swoim „klezmerowskim języku" o jakiejś ważnej kwestji.

— Kto jest ta panna, co stoi obok narzeczonej?—pyta Stempeniu, pokazując na Ruchele—idź no, Rachmil, i dowiedz mi się czemprędzej, co to za jedna, ale szybko!

Po chwili Rachmil wraca z odpowiedzią:

— To nie panna, to już mężatka, to synowa Ajzyka-Naftuli, a tamten w aksamitnej czapce, to jej mąż.

— A niech że cię, Rachmil, djabli wezmą! to z ciebie zuch—takeś się prędko dowiedział... ale że ładna kobietka, to ładna.

— Jeżeli pan chce, to z nią pogadam— mówi Rachmil.

— Idź do djabła! nikt tego od ciebie nie chce—sam z nią pomówię...

IV.

Skrzypce naszego Stempeniu.

Krótko mówiąc, nareszcie po wielu krzykach i korowodach, Stempeniu wystąpił na swych skrzypeczkach z przemową do narzeczonej.

Ach, czuję, jak słabem jest pióro moje, aby opisać, jak grał Stempeniu. Nie, to nie była zwykła gra, zwykłe rzępolenie, to była służba Boża o natchnieniu tak wielkiem, tak podniosłem, o charakterze tak czułym, tak delikatnie czułym, że opisać tego niepodobna!

Stempeniu stanął naprzeciw narzeczonej i zaczął swą do niej przemowę na swych cudnych skrzypcach, długą, piękną, wzruszającą przemowę o swobodnem i szczęśliwem życiu panieńskiem, i o ciemnym, gorzkim losie, jaki ją czeka później, później... „nie jesteś już panną, głowę ci nakrywają, zasłaniając cudne twe sploty na

zawsze... niemasz już wolności, swobody, żegnaj młodości; żegnaj!"... wcale, wcale nie wesoło!...

Takie mniej więcej słowa mówią skrzypki Stempeniu, a dobrze je rozumieją i odczuwają obecni, zwłaszcza kobiety, które się teraz gorzkiemi łzami zalewają.

— Czyż to dawno, jak to ja tak siedziałam — myśli sobie młoda kobietka, połykając łzy, — myślałam, że aniołowie w opiekę mnie wzięli, żem najszczęśliwsza, najszczęśliwsza na ziemi! tymczasem... ach, tymczasem!..

— Oby Bóg dał, — prosi w duchu matka dorosłych córek, — żeby starsza córka moja jaknajprędzej wybranego znalazła, ale z większem szczęściem, z lepszą dolą, niż ja mam u swojego męża, aby nie zgrzeszyć słowami!

Tak sobie mniej więcej myślą kobiety, a Stempeniu robi swoje. Ot, zagrał znowu coś bardzo rzewnego, a kapela mu wtoruje. I znowu zapanowała cisza,—mężczyzni wpadają w zadumę, kobiety umilkają, dziewczęta i chłopcy włażą na ławki, krzesła i stoły —wszyscy chcą słyszeć Stempeniu.

— Sz-sza! ciszej! panowie, niech będzie cicho! sz-sza!

I Stempeniu rozlewa się na swych skrzypeczkach, topnieje jak wosk: „tiuch-tiuch-

tiuch!" i nic więcej nie słyszysz. I widzisz tylko, jak ręka jego płynie do góry i nadół i słyszysz najrozmaitsze głosy, i wlewają się w twą duszę całe potoki melodji, a wszystkie takie żałośliwe, tak smętne, że aż za serce chwytają, duszę wyciągają, zdrowie odbierają...

I słuchacze sił już nie czują, konają, umierają, serca ich przepełnione, zmoczone łzami, a z ocz zwilgotniałych leją się łzy gorące... i żydzi wzdychają, żydzi jęczą, żydzi płaczą!... A Stempeniu? jaki tam Stempeniu? gdzie Stempeniu? nie widać go wcale—nie widzisz ani jego, ani skrzypiec, słyszysz tylko słodkie jakieś, czarowne głosy, pieśni boskie, które pokój przepełniają..

A piękna Ruchełe, która nigdy jeszcze takiej muzyki nie słyszała, piękna Ruchełe, która słyszała o Stempeniu, ale go nigdy grającego nie widziała,—stoi teraz wsłuchana w czarodziejskie te dźwięki, w głosy te boskie—i sama siebie nie rozumie... Co to jest? coś ją jakby ża serce chwyta i tak mile głaszcze, ale co to jest, zrozumieć nie może... i pomimo woli kieruje wzrok w stronę, skąd płyną niebiańskie te głosy, i spotyka się z parą pięknych oczu, czarnych, ogniem ziejących, które wpiły się w nią i przeszywają ją, jak dwie ostre dzidy.

Więc to jest ten Stempeniu?

Tak myśli piękna Ruchełe, gdy gra już się skończyła.

— Gdzież są świece—pytają krewni narzeczonego.

— Świece gdzie są?—odpowiadają krewni narzeczonej.

I znowu zamęt, pomieszanie, krzyk, gwałt, hałas, wszyscy się krzątają, kręcą, biegają nie wiadomo dokąd i po co, pchają się, ściskają, depcą sobie po odciskach. wymyślają „sarwerom” i usłudze, która ze swej strony odwzajemnia się, krewni państwa młodych sprzeczają się pomiędzy sobą—i, chwalić Pana Boga, życie wre i kipi!

Z zamięszania tego skorzystał właśnie nasz Stempeniu, ażeby się znaleźć przy boku pięknej Ruchełe, synowej Ajzyka-Naftuli; zdążył już zamienić z nią kilka spojrzeń i zacząć dłuższą jakąś rozmowę.

Piękna Ruchele na jego dziesięć słów odpowiadała zaledwie jednem, bo czyż wypada rozmawiać z „klezmerem” i, w dodatku, gdzie tyle osób?...

V

Pierwsze spotkanie Stempeniu i Ruchełe.

O Stempeniu opowiadają najrozmaitsze historje,—opowiadają, że gdy zechce odbić narzeczonemu narzeczoną, potrafi to w jed-

nej chwili; że posiada taką jakąś tajemnicę, że spojrzy na dziewczynę, a już sercem do niego należy, niech Pan Bóg uchowa! Wszystkie prawie matki wiedzą o tem i dlatego nie pozwolą córkom mówić z Stempeniu, chyba w obecności starszej zamężnej siostry, ciotki, synowej, albo w ogóle jakiej mężatki.

Błogosławione jesteście żydowskie mężateczki, błogosławieni mężczyźni, co wam swobodę dali! biada pannom, ciągle strzeżonym, krępowanym i pilnowanym!

Ruchełe, będąc mężatką, nie miała już potrzeby uciekać przed Stempeniu, czegoż się ma bać? dla czego ukrywać? Teść, reb Ajzyk-Neftuli, zajęty weselem, chodzi z założonemi w tył rękoma i pilnuje „sarwerów", by się żwawiej ruszali; a teściowa Dwosia-Małka, coprawda, zatrzymała się na chwilkę i zastanowiła, co tu może robić Stempeniu przy jej synowej? ale sobie w tejże chwili pomyślała: „ ot, głupstwa, ich tam głupstewka, grosza nie warte!" i prędko odeszła, aby w dalszym ciągu dyrygować „sarwerkami" i zachęcać, by się raźniej krzątały.

Reb Ajzyk-Naftuli z żoną dyrygowali, przyznać należy, przewybornie;—„sarwerzy" i „sarwerki" latali jak opętani. Krewni jednej i drugiej strony sprzeczali się ze sobą

i hałasowali, jak to jest we zwyczaju. Goście zaczęli myć ręce i śpiesznie zajmować miejsca na długich ławkach, ustawionych naokoło stołów, na których ułożone były szeregi świeżych bułek po jednej i drugiej stronie. Nagle powstał nowy „gwałt” i krzyk —zbrakło wody do mycia.

— Gdzieżby tu wody dostać? — pytają krewni narzeczonego.

— Wody zkądby dostać? — odpowiadają krewni narzeczonej.

— Wody! wody!—krzyczy Dwosia-Małka już nieco ochrypłym głosem.

— Wody! wody! prędzej dajcie!—pomagał jej krzyczeć reb Ajzyk-Naftuli, zakasawszy poły, przekonany, że doprawdy coś robi.

Wśród tego nowego popłochu miał Stempeniu okazję mówić jeszcze trochę z Ruchełe; była ona jakoś zamyślona, piękne jej oczy niebieskie patrzyły gdzieś daleko, lecz nie na Stempeniu, który dłuższą teraz zawiązał rozmowę.

A mówić umiał Stempeniu, o, dobrze mówił, nicpoń! słowami potrafił tak człowieka ująć, objąć, wkraść się do głębi serca, do samej głębi!

Mówił więc i mówił, a Ruchełe go słuchała, a hałas w pokoju był tak wielki, że

nikt z ich rozmowy nic słyszeć nie mógł, chyba tylko ostatnie słowa.

— To wasz Mojsze-Mendel? — zapytał Stempeniu, wskazując oczyma na młodego człowieka w aksamitnej czapce.

— Tak... odpowiedziała Ruchełe i odwróciła się odeń, jakby obrażona.

Ruchełe czuła się doprawdy obrażoną i już więcej nie patrzyła w stronę „klezmerów"; naprózno krążył koło niej Stempeniu, nic mu nie pomogło, obrzydł jej formalnie ten Stempeniu ze swoim cynicznym wzrokiem... fe! wstyd, żeby się z nim mężatka żydowska w rozmowę wdawała..

Tak myśli Ruchełe, zbliżając się do narzeczonej, i gotowa już zapomnieć, że istnieje na świecie jakiś Stempeniu, lecz — sz-sza! cóż znowu za nagły popłoch?...

Stempeniu znów gra cóś rzewnego, a wtoruje mu kapela... Ustały krzyki, ustał popłoch; mężczyźni wpadają w zadumę, kobiety umilkają, dziewczęta i chłopcy włażą na ławki i stoły — wszyscy chcą słyszeć Stempeniu! Ajzyk-Naftuli stoi z głową opuszczoną, wsłuchuje się, jak dobry znawca; Dwosia-Małka, jak stała z talerzem w ręku, tak pozostała w tej pozie; nawet „sarwerzy" z podkasanemi połami i „sarwerki" z zadartemi spódnicami stanęli, jakby do miejsc swoich przymarźnięci. A Stempeniu rozlewa

się na swych skrzypeczkach i wydobywa z nich tak smętne, tak boskie pieśni, że słuchacze wstrzymują oddech, pozostając na miejscach, niby umierający, umarli, nieżywi!... Serca przepełnione, łzami zroszone, a z ócz zwilgotniałych leją się łzy gorące... i żydzi wzdychają, żydzi jęczą, żydzi płaczą...

A Stempeniu? kto Stempeniu? gdzie Stempeniu? nie widać go wcale, — nie widzisz ani jego, ani skrzypiec, słyszysz tylko słodkie jakieś, czarowne głosy, pieśni boskie, które pokój przepełniają.

A piękna Ruchełe, która nigdy jeszcze takiej muzyki nie słyszała, piękna Ruchele, która słyszała o Stempeniu, ale go nigdy grającego nie widziała—stoi teraz wsłuchana w czarodziejskie te dźwięki, w głosy te boskie i sama siebie nie rozumie... co to jest? cóś ją jakby za serce chwyta i głaszcze tak mile, tak mile,—ale co to jest, żadną miarą zrozumieć nie może... i mimowoli zwraca wzrok w stronę, skąd płyną niebiańskie te głosy i spotyka się z parą pięknych oczu, czarnych, ogniem ziejących, które wpiły się w nią i przeszywają ją, jak dwie ostre dzidy.

Ruchełe opuszcza głowę, widzi jednak wciąż te piękne ogniste oczy; Ruchełe rozgląda się na wszystkie strony i wciąż widzi te czarne, ogniem ziejące oczy....

VI.

Po wieczerzy weselnej.

Już się wieczerza weselna dawno skończyła, już po „micwe-tanc", po „drusze-geszank", (t. j. ogłoszeniu prezentów, ofiarowanych państwu młodym). Goście hulają. każdy po kolei zamawia u muzykantów taniec jakiś. Reb Jontel Szochet puścił się „kozaka", naprzeciw tańczy matka pana młodego: wszyscy przyklaskują wesoło Jontelowi, który jest tak pijany, że nie wie nawet, że tańczy vis-à-vis — kobiety, która podparła się rękoma pod boki i uśmiecha się do reb Jontla swym szerokim śmiechem, rozlanym po szerokiej twarzy, okrągłej, przypominającej miesiąc w pełni... Wesołość coraz wzrasta... ot tańczą już, przepraszam za wyrażenie, w samych spodniach: Ajzyk-Naftuli stoi już bez kapoty, którą zdarto z niego przemocą prawie, na głowę wpakowano mu stary kapelusz, który mu spada na sam koniec nosa,—a wszyscy śmieją się z niego do rozpuku; nawet własny syn Mojsze-Mendel (mąż Ruchełe), który go ciągnie co chwila za rękaw. „Klezmerzy" grają już teraz sami bez Stenpeniu; czarny kołtuniasty Szneir-Meir drzemie; Reb Jukiel Kontrabas śpi; pracuje tylko teraz młodzież, a najwięcej Mechei-Pajkler, który wali w

bęben wprost po zbójecku, bez sumienia; rudą głowę ukrył po za bębnem, i widać tylko, jak pracuje rękoma i przytupuje nogami. A Stempeniu? Stempeniu kręci się koło ładnych kobietek, a zwłaszcza koło Ruchele.

— Teściowo, chodźmy już do domu - odzywa się Ruchele do Dwosi-Małki, która przypatruje się mężowi—Ajzykowi, tańczącemu bez kapoty i w kapeluszu.

— Chodź, córko, chodź! — odpowiada Dwosia—jutro jarmark, trzeba odpocząć... patrz-no, jak się rozhulali!

I Dwosia-Małka i Ruchele zabierają się do domu.

Ciemno-szafirowe niebo staje się coraz jaśniejszem i powoli już świtać zaczyna; ot zapiał już i kogut, a dziesięć innych mu wtoruje; zdaleka, zdaleka dolatuje szczekanie psa; domy wszystkie jeszcze pozamykane, tylko w pokoju „szocheta” (rzezaka) Hersza-Bera świeci się już. Hersz-Ber wstaje codziennie przed świtem, aby godzinkę, dwie pouczyć się Tory...

— Jak ci się podoba Gnesi córka, jak ona się wystrychnęła? co?..

Lecz Ruchele nie odpowiada,—zabardzo zajęta swemi myślami...

— Teściowo!—odzywa się nagle Ruchele,

—dacie wiarę, ja dopiero pierwszy raz w życiu słyszałam Stempeniu?

— Idź, dziecko, cóż znowu? pierwszy raz dopiero? ny, a u „gwira" reb Lejb-Hersza z Chmielnika, albo u reb Nechemji Glok? albo znowu też w Chmielnicku u Sury-Benzion? albo u samego rabina?

— Nie pamiętam,—odpowiada Ruchełe—pamiętam tylko jak mi mówili „Stempeniu, Stempeniu", ale go nigdy nie widziałam.

— No, rozumie się, byłaś jeszcze wtedy młode pisklę, kiedy Stempeniu grał na weselu u rabina w Chmielnicku... co to było za wesele, żeby wszyscy, co nam dobrze życzą, takie wesela wyprawiali! co to było za wesele! możesz sobie wyobrazić, byłam wtedy w poważnym stanie, uważasz, w szóstym,—co ja mówię? nie, — w ósmym, tak w ósmym... Ale dokąd idziesz, Ruchełe, błądzisz przecie, ot tu jest nasze mieszkanie, a ty zalazłaś do Gnesi... cha! cha! cha!...

— Patrzcie-no!—odpowiada Ruchełe, oglądając się na wszystkie strony — doprawdy, ładna historja!.. cha! cha! cha!...

I śmiejąc się weszły do pokoju, aby odpocząć przynajmniej kilka godzin, jutro bowiem czekał ich wielki targ w Mazepówce, prawie jarmark.

VII.

Ruchełe nie może zasnąć.

Słyszeliście o tem nieszczęściu? Ruchełe zasnąć nie może! czego ona biedna nie robi?—przykrywa się i odkrywa, obraca się z jednego boku na drugi,... nic nie pomaga —snu jak nie było, tak niema! Im bardziej stara się nie myśleć o Stempeniu, tem wyraźniej przed oczyma jej staje, Bóg wie naco i po co! Przymyka oczy mocno, mocno, —i Stempeniu staje znów przed nią ze swemi czarującemi ognistemi oczyma, które wpiły się w nią i ciągną ją ku sobie... „Ach, Boże uchowaj!... żeby tu chociaż Mojsie-Mendel był!.." myśli sobie Ruchełe.

Otwiera oczy i widzi Stempeniu z jego skrzypkami i zdaje jej się, że słyszy jeszcze cudną jego grę... „ach, co za gra! co za gra! nie napróżno opowiadają o nim takie nadzwyczajne historje"... I Ruchełe zaczyna przypominać wszystkie te piękne historje, których się nasłuchała od koleżanek jeszcze w owych czasach, gdy chodziła do chederu Motla Szpraza na naukę pisania. Jak to Stempeniu razu pewnego odbił narzeczonemu narzeczoną, i narzeczona z wstydu umarła, i chowali ją pod czarnym baldachimem... jakie to figle płatał dziewczynie, która go nazwała szarlatanem... jak

to Stempeniu grał kiedyś na weselu u wielkiego pana, czy hrabiego, i córka hrabiowska, młoda, piękna panienka, zakochała się w nim na śmierć i wyraźnie oświadczyła ojcu, że „albo wyjdzie za niego, albo zakończy ze sobą!..” jak to stary hrabia, widząc, że nic z córką nie poradzi, zwrócił się do niego z początku z gniewem, potem z prośbą, wreszcie przyrzekł mu trzy wsie, aby tylko zechciał się „przenicować” i wziąć jego „panienkę” za żonę, ale mu na to Stempeniu odpowiedział po francuzku: (Stempeniu dobrze umiał po francuzku i po niemiecku;) że gdyby mu dano cały pokój z dukatami, nie zamieni jednak nigdy „swojego” dukata... (i dlatego właśnie lubili go wszyscy najpobożniejsi i nawet rabin Chmielnicka go specjalnie wyróżniał). A panienka, gdy się o tem dowiedziała, rzuciła się w ubraniu do wody... I jeszcze wiele, wiele tym podobnych nadzwyczajnych opowieści, przy słuchaniu których aż strach człowieka ogarnia..

„E, co tam! głupstwo, głupstwo, miłość... grosza to wszystko niewarte!—myśli znowu Ruchełe.—„Mój Mojsie-Mendel, chwalić Boga, kocha mnie bez wszystkich tych głupstw, czyż ja tego niewidzę? oj oj! i jeszcze jak kocha, szaleje za mną!... a ja jego? ja za nim, czy też?!!“

I Ruchełe obraca się na drugą stronę, twarzą do ściany, i zaczyna serjo się nad tem zastanawiać; pierwszy raz przyszła jej do głowy myśl podobna... „ot, masz tobie, — drugie dnie świąt za pasem, a tu jakieś takie głupstwa do głowy przychodzą — czy kocham, czy nie? jakoś wcale nie po żydowsku... rozumie się, żebym go miała nienawidzieć, to nie, o nie!..”

I doprawdy, dlaczegożby miała go nienawidzieć? Mojsze-Mendel nie był, uchowaj Boże, brzydkim, przeciwnie, w dodatku był postępowy—pejsy miał zasunięte za uszy, czytał hebrajskie gazety, umiał ładnie robić „kidusz”, lubił sobie czasem podowcipkować, podokazywać z młodymi ludźmi—słowem, bardzo na miejscu młody człowiek. Prawda, że do niej odnosił się jeszcze nieco dziko, nigdy z nią dwóch zdań nie zamieni, tylko się zawsze półsłówkiem, albo dowcipem wykręci, aby udać się do „bethamidzaszu”, albo na targ. Żeby to choć raz kiedy usiadł z nią i pogawędził, z pół godzinki przynajmniej, ot tak, dla samej ciekawości, jak to u ludzi przyjęto, o tem i owem, albo ja wiem o czem, ot, aby mówić... nie i nie!

O, nie o tem marzyła Ruchełe za czasów narzeczeństwa. Wtedy zdawało jej się, że świat cały zazdrości jej szczęścia... taki

Mojsze-Mendel! (co to był za przystojny młody człowiek, gdy był jeszcze narzeczonym!) I zdawało jej się wtedy, że najszczęśliwszą będzie na świecie... a tymczasem?... Tymczasem wszystkim jej przyjaciołkom dawniejszym daleko lepiej, niż jej; jedna mieszka z mężem w dużem mieście, zkąd takie listy pisze, że aż zazdrość! druga ma już własny dom; nawet Chana-Mirel, która wyszła za wdowca z pięciorgiem dzieci, też szczęśliwa.. A ona? a Ruchełe?—niema co mówić, cały dzień siedzi w domu zamknięta, jak kura w klatce,—jedz, pij i śpij! Teść i teściowa cały dzień spokoju jej nie dają, tylko nudzą wciąż: „Ruchełe jedz, Ruchełe pij..” a Moojsze-Mendel... ten, to ją nie wiedzieć po jakiemu traktuje, jakoś tak dziko... Ot puka ktoś, to niezawodnie Mojsie-Mendel wraca z wesela... teściowa poszła już otwierać...

— Mojsie Mendel?

— Hę, co?

— To ty, Mojsie-Mendel?—pyta matka.

— N-ny—jeszcze trochę potańczyć, niech tam diabli... brrr...—odpowiada syn.

— Cóż ty tam mruczysz znowu? rozbierz się i idź spać.

— N-ny i co? dobrze się piło, Berel, co? dobrze?... co, dobrze, Berel-Mnasze?..

— Co się z tobą dzieje, Mojsie-Mendel?

co ty ciągle mruczysz?—pyta Dwosia-Małka, zapalając zapałkę.

— Czyż nie słyszycie, teściowo, że upił się, jak Loth?—odzywa się Ruchełe, — zapalcie mu teściowo, świecę, bo do łóżka nie trafi...

— Chał... co? jeszcze kieliszek?... jeszcze?...

Mojsie Mendel upada na łóżko i po chwili słychać jego nieludzkie chrapanie; Dwosia-Małka również zasnęła, dzieci śpią już oddawna, ze wszystkich kątów dolatuje głośne chrapanie... jedna tylko Ruchełe zasnąć nie może. Księżyc wrzuca przez okno pasmo światła na łóżko, na którem leży Mojsie-Mendel na wznak; usta ma otwarte, głowę zadartą, oczy przewrócone, aż patrzeć brzydko...

Ruchele chciałaby nie patrzeć, i pomimo to wciąż patrzy... Nigdy jej się nie wydawał tak wstrętnym, jak teraz, i pomimo woli porównała go z tamtym, ze Stempeniu..

I to ten sam dawniejszy Mojsie Mendel ze swą ładną twarzyczką, słodkim uśmiechem, wesołemi oczyma, zgrabną postawą, miłemi ruchami i mądremi dowcipami? to ten sam Mojsie-Mendel?

I Ruchele pomimowoli znowu go porównała z kim innym... ze Stempeniu...

Precz, precz ciemne myśli od córy izraelskiej!...

VIII.

Przy oczepinach.

Nazajutrz, gdy Hena „szamesowa" przyszła do Dwosi-Małki powiedzieć, że narzeczony z narzeczoną i bliżsi krewni ich proszą do oczepin, Ruchełe była już ubraną według ostatniej mody reb Dawida-Mechanika, krawca damskiego, w jedwabną suknię niebieską z bardzo szerokiemi rękawami, jak to wówczas powszechnie noszono w Mazepówce, gdzie moda zazwyczaj o kilka lat się opóźnia; na głowie miała jedwabną ażurową chustkę niebieską, na szyi kilka sznurów pereł i kolję, pozatem duży łańcuch złoty, bransoletki, broszę, kolczyki, pierścionki, — słowem, całą żydowską bižuterję, cały majątek żydowski!

I tak wystrojona siedziała w pokoju, gdzie Mojsie-Mendel leżał jeszcze we wczorajszej pozycji i chrapał w najlepsze.

Ach, co za różnica, co za wielka różnica pomiędzy dwoma tymi Mojsie Mendlami, t. j., między Mojsie-Mendlem, narzeczonym, i Mojsie-Mendlem, mężem: tamten miał jakoś w sobie tyle sympatji, oczy jego błyszczały, jak dwie „hawdule," głos taki miał słodki, melodyjny, a wszystkie ruchy tak

miłe, tak miłe! A ten Mojsie-Mendel? — taki jakiś niezgrabnie długi, taki wązki, z jednej strony twarzy sypie mu się ruda bródka... skąd się wzięła do niego kozia bródka? .

I pomimowoli przychodzi jej na myśl tamten, który całą noc spać jej nie dał... prawdziwe nieszczęście!... Ale ja sama sobie winnam,—myśli Ruchełe,—samam sobie winna: masz tobie znowu Stempeniu! któż to widział, żeby ni ztąd ni zowąd wchodzić w rozmowę z „klezmerem"? coby powiedziano, gdyby mnie tak zauważyli rozmawiającą z nim? wstyd, wstyd! szczęście, że taki był popłoch... a coby Mojsie-Mendel powiedział...?...

I z uśmiechem zbliżyła się Ruchełe do łóżka Mojsie-Mendla, schyliła się nad nim i nazwała go po imieniu.

Mojsie-Mendel otworzył bure swe oczy, długo patrzył i nie mógł zrozumieć o co idzie.

— Mojsie-Mendel! — odezwała się Ruchełe, nachylając się jeszcze niżej nad nim, — Mojsie Mendel, nie poznajesz mnie wcale, czy co? jak to on mnie ogląda, jakby mnie nie znał! spodobałam ci się w nowej sukni? co, Mojsie-Mendel co, co?

— Ojej, daj mi spokój, chcę spać jeszcze!... — i przy tych słowach obraca się

twarzą do ściany i poczyna chrapać ze zdwojoną energją.

— Narzeczony z narzeczoną i najbliżsi krewni zapraszają do oczepin Dwosie-Małkę ze synową, — powiedziała Hena „szamesowa" na progu pokoju, lecz zauważywszy Ruchełe, schyloną nad śpiącym mężem, cofnęła się w tył...

* * *

Ruchełe zastała narzeczoną jeszcze nie przybraną; obie przyjaciółki ucałowały się i jęły wynurzać się wzajemnie przed sobą, jak przystoi dwom młodym mężateczkom...

Goście zaczęli się schodzić powoli, „sarwerzy" i „sarwerki" nakrywali do stołu, na którym znajdowały się już konfitury, „lekech" (pierniki), obwarzaneczki migdałowe, torty najróżnorodniejsze, „chleb migdałowy" i czego tylko dusza zapragnie...

„Mechuten" Chaim-Benzion biega po pokoju w aksamitnej czapce, zafrasowany, a żona jego, mocno już ochrypła, nie przestaje komenderować i dyrygować, pędząc służbę bez potrzeby z miejsca na miejsce i krzycząc z całych sił.

— Unieszczęśliwić mnie chcecie, wrogowie, stawiacie tort i konfitury tam, gdzie ma stać właśnie karafka z wódką i kieliszki! biada mi biednej, nieszczęśliwej!.. idź,

rozerwij się! masz tobie wesele! kosztuje tyle pięniędzy, tyle pieniędzy, tym czasem masz tobie!... tylko zmartwienia, tylko zmartwienia... nawet „klezmerów" jeszcze niema... nieszczęście!.. prawdziwe nieszczęście z tem weselem!

— Sz-sza! niech już cicho będzie,— krzyczy Chaim Benzion, — czego ty krzyczysz, czego hałasujesz? Nic nie robi, tylko hałasuje... co komu po twoim krzyku?.. Patrzcie-no ją! aż ochrypła od tego krzyczenia.. co to—nowina dla ciebie wydać dziecko zamąż?.. pierwszy ci się to raz zdarza, czy co? co tu znowu za krzyki? na co te krzyki?

— Kto krzyczy, „meszugener", kto krzyczy?

— Albo ja wiem, kto krzyczy, owszem, powiedz sama, kto...

— Ja nie wiem, ja napewno nie, ja tylko słyszę, że ty krzyczysz.

— Jakto? ja krzyczę? masz tobie znowu! ja? ja krzyczę?

— Ot, krzyczysz przecie Chaim-Benzion, co ci się stało znowu?

— Ja krzyczę? ja? ja przecież tylko mówię, żebyś ty nie krzyczała, to ja mówię... ale ja krzyczę? ja?

— Kiedy ot krzyczysz przecie, co ci się stało? co? Boże mój!..

— Ależ, kiedy ja wcale nie krzyczę, ja tylko proszę, żebyś ty nie krzyczała, serce moje!...

— Dobry dzień niech mają bliźni i dalsi krewni narzeczonego i narzeczonej i wszyscy ich dobrzy przyjaciele, wiwat! ładnie proszę zagrać!

Przy tym okrzyku Chajkiel — badchena (marszelika) muzykanci wzięli się do swoich instrumentów, a Stempeniu wziął skrzypce i jął powtarzać wczorajsze pieśni z większem jeszcze przejęciem i z dodatkiem nowych „kawałków,” od których formalnie się rozpływano... Wszystkie oczy były weń wpatrzone z zachwytem, jedna tylko Ruchełe nie patrzyła w tamtą stronę... a pomimo to widziała go i czuła, że on tylko w nią wpatrzony... I tylko wtedy, gdy Stempeniu grać przestał, i goście zaczęli głośno wyrażać swój zachwyt i podziw, Ruchełe podniosła niebieskie swe oczy i ujrzała Stempeniu...

— Co mówisz, co powiesz o nim? — zapytała ją narzeczona.

— O kim?

— O Stempeniu... jak ładnie gra, ten „koł-bojnik” (urwis)...

Ruchełe nic nie odrzekła, uczuła nagle,

że rumieńce na twarz jej biją; spostrzegł to i narzeczona i zapytała.

— Cóż to? gorąco ci?

— Tak, gorąco, strasznie gorąco! wyjdę na chwilę, żeby się ochłodzić, — odrzekła Ruchełe i zabrała się ku wyjściu, gdzie na każdym kroku spotykała się z „sarwerem," lub z „sarwerką," którzy jej z całym szacunkiem z drogi ustępowali, nie tyle z respektu dla niej, ile dla jej jedwabnej sukni; lecz nie tak prędko znowu udało jej się dostać do drzwi, zmuszona była bowiem przepchać się przez szeregi „klezmerów," którzy sztyletowali ją oczyma... a gdy się spotkała ze wzrokiem Stempeniu, uczuła nagle dziwne bicie serca, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczała, i żar, jakgdyby nagle w twarz jej uderzyły płomienie pożaru. Na domiar złego spotkać się jeszcze musiała z reb Chaim-Benzionem prawie już u samych dzwi, i tu zaczęła się nowa historja: reb Chaim Benzion był to człowiek wyjątkowej pobożności a kobiet bał się jak ognia; spotkawszy się tedy nagle z piękną Ruchełe oko w oko, powinien był właściwie cofnąć się w tył, ale działaniem widocznie szatana, rzucił się naprzód, wprawo; ponieważ Ruchełe również szła wprawo, więc o mało nie zetknęli się ze sobą; wtedy reb Chaim-Benzion wpadł na pomysł, aby wziąć w lewo, lecz na niesz-

częście, na ten sam pomysł wpadła jednocześnie i Ruchełe... wtedy dopiero reb Chaim-Benzion zrozumiał, że powinen raptownie puścić się w prawo, ale zanim się zorjentował, Ruchełe już szła znowu wprawo, jakby naumyślnie—i Bóg wie, jakby się to skończyło i jak długo wypadłoby im jeszcze sobie tak tańczyć vis-a-vis, gdyby na szczęście nie nadeszła żona reb Chaima i ochrypłym głosem nie zaczęła z nim zwykłego przekomarzania się.

Ruchełe skorzystała z tej okazji, aby wydostać się na ulicę i ochłonąć z żaru, jaki ją ogarnął.

IX.

Biografia Ruchełe i romans przyjaciółki jej Chai-Etli.

Na dworzu większy był jeszcze upał. Był dzień lipcowy. Słońce piekło bez litośnie.

Na drewnianych i słomianych dachach domów Mazepówki drżały i tańczyły tysiączne smugi światła słonecznego, niby fale morskie.

Mazepówka to typowe miasteczko żydowskie, miasteczko handlowe. Naprzeciw Ruchełe jest targ, sklepy z fartuchami czerwonymi są teraz otwarte, a kupcowe siedzą na stołkach i robią pończochy z nadzwyczajną szybkością; po bokach znajdują się

niecki z placuszkami, z jagodami, z tyłu podkrada się kozioł z widocznym zamiarem wyrządzenia szkody, lecz nie dopuszczają do tego; a tam daleko, daleko wolnym krokiem sunie fura, zaprzężona w dwa woły, i podnosi straszny kurz; za furą idzie młody chłopak w dużej czapce zimowej, z torbą i długim batem w ręku, a duży pies z wywieszonym ozorem pędzi za nim.

Ruchełe stoi i zastanawia się nad całym tym powszednim wyglądem miasteczka w zestawieniu z jej świątecznym ubiorem, z tą suknią niebieską, perłami, bransoletkami, kolczykami, pierścionkami, — i czuje, że wcale jakoś nie harmonizuje z całym tym obrazem miasteczka, że sama jest jakoś ni to, ni tamto, — ani jest kupcową, ani hrabiną... ot ma sobie męża, jest na stole u jego rodziców, czyli u swego teściowstwa, ręki do zimnej wody nie wkłada, a mąż spaceruje sobie z laseczką i dowcipkuje.

Teraz, stojąc tu i czując się jakoś tak dziwnie, jak nigdy, zaczęła pierwszy raz w życiu zastanawiać się, kim i czem jest, i przyszło jej na myśl, że brak jej czegoś... czego, nie wie,—ale czuje, że jej tego brak, że bez tego...

Ruchełe była sobie zwykłą kobietką żydowską bez nadzwyczajnych pretensji, słowem tem, co się nazywa „a jüdische tochter".

Dla rodziców nie była żadnym antykiem, i żeby się zabardzo przed oczyma nie kręciła i żeby w domu cały dzień było spokojnie, posyłano ją ze starszymi braciszkami do chederu. Gdy podrosła, oddano ją na naukę pisania do Motla Spreis; tam miała mnóstwo koleżanek i przyjaciołek, dorosłych i młodszych, ale Ruchełe wolała zawsze garnąć się do dorosłych, od których słyszała najrozmaitsze historje, piękne nadzwyczajne historje, i które i ze swej strony lubiły Ruchełe dla jej ładnego śpiewu.

— Śpiewaj, Ruchełe,—serce, śpiewaj, nic nie szkodzi, teraz chłopców niema.

Przy chłopcach i przy starszych wstydziła się Ruchełe śpiewać, a szczególniej przy dorosłych chłopcach, bo i same przyjaciółki nawet mawiały, że to niełądnie i że niewolno...

— No, śpiewaj-że, Ruchełe-serce, śpiewaj... patrzcie-no, trzeba ją prosić...

I Ruchełe słucha starszych przyjaciołek i zaczyna cienkim głosikiem piosenkę, żydowską piosenkę:

Tam na górze stoi gołąb,
Smutnie sobie mruczy...
Mam ci gdzieś ja przyjaciela,
A przyjść doń nie mogę...

I Ruchełe śpiewa tę piosnkę miłosną z

wielkiem uczuciem, jakgdyby rozumiała, jakgdyby czuła, co jest miłość.

Lecz, tamte, dorosłe, dobrze widać to rozumieją, bo główki opuściły zasmucone, wzdychają i nieraz łzy ronią..

Najwięcej lubiła te piosnki jedna z przyjaciółek, imieniem Chaja-Etel, ładna dziewczyna, sierota. Chaja-Etel była jedną z wielu dziewcząt żydowskich, których biografia jest tak krótką, że możnaby ją w kilku słowach opowiedzieć.

Ot, macie ją.

Przed niedawnym czasem żyli w Chmielnicku dwaj bracia, Aron i Lejb. Aron umarł bardzo młodo, a w kilka miesięcy po nim umarła żona; pozostała córka Chaja-Etel, nad którą ulitował się wuj Lejb i zabrał ją do siebie razem z jej spadkiem. Wuj Lejb obchodził się z sierotą, co prawda, nie tak pięknie znowu: cały spadek (mówią, że trzy tysiące rubli wynosił) zabrał, jej dał za przeproszeniem, figę i wydał ją w końcu zamąż za jakiegoś łotra który ją katował i zapędził do grobu w 22 roku życia...

Ot z tą właśnie Chają-Etlą była Ruchełe w serdecznej przyjaźni i z tą właśnie Chają-Etlą siedziała Ruchełe w sobotę przy oknie i zwyczajem swoim śpiewała piosenki...

Oj, odjeżdżasz!
Oj, odjeżdżasz!
A mnie biedną ty opuszczasz. . i t. d.

— Ruchełe, serce moje, duszo moja, — mówi Chaja-Etel,—zaśpiewaj to jeszcze raz!

— Jeszcze raz prześpiewać? — pyta Ruchełe—no, dobrze, mogę raz jeszcze rozpocząć od początku.

Oj, odjeżdżasz,
Oj, odjeżdżasz,
A mnie, biedną, opuszczasz!...

Nagle Ruchełe widzi, jak sierota Chaja Etel rękoma zakrywa twarz, a głową i plecami jej wstrząsa jakiś dreszcz nerwowy; Ruchełe umilkła i słyszy jak Chaja-Etel płacze...

— Boże mój! co ci jest? co? płaczesz? z czego ci się nagle na płacz zebrało? powiedz mi, złota moja, co ci się stało? co?

— Oj, Ruchełe, Ruchełe, ta piosenka, ta piosenka twoja!

— Oj, Ruchełe, nie pytaj lepiej, nie pytaj... serce moje zgorzkniałe, żar czuję w sobie, ogień się we mnie pali, ot, tu, widzisz, ot tu—tu!

Chaja-Etel wskazuje na serce, a Ruchełe patrzy zdziwiona.

— Dlaczego się na mnie tak patrzysz, Ruchełe? nie rozumiesz mnie? o, ty nie możesz sobie wyobrazić nawet, jak ja cierpię!

jak ja cierpię!.. o, jak mi źle na świecie... sama jedna, niemam nikogo, i taka nieszczęśliwa, tak nieszczęśliwa... muszę ci wszystko opowiedzieć, wszystko!

I Chaja-Etel opowiada Ruchełe historję, smutną historję, nawet bardzo powszednią, bo często się ją słyszy u nas żydów; jak to z nią wuj Lejb źle się obchodzi, a zwłaszcza ciotka, i gdyby nie Benjamin, młodszy syn wuja Lejba, jużby dawno w świat się puściła, albo do wody się rzuciła. Ot, ten Benjamin był jedyną pociechą w jej życiu, z nim się razem wychowała, był jej bratem... tymczasem? tymczasem odjechał i pozostawił ją samą, biedną, opuszczoną...

— Nie rozumiem Chaja-Etel? cóż w tem strasznego, że odjechał? a gdy własny brat odjeżdża? a przecież to nie był rodzony brat...

— O, Ruchełe, ty nie wiesz, jaki mi on był drogi, jak głęboko wrył mi się w serce, zupełnie, jakby mi był bratem rodzonym, bratem, o bardziej jeszcze! powiadam ci, gdy go widziałam przy sobie, jasno mi się robiło przed oczyma, a teraz gdy odjechał...

— Benjamin musiał przecież odjechać, przecież się ożenił..

— Oj, Ruchełe, nie mów mi tego, ja tego słyszeć nie mogę!..

— Co? ja nie rozumiem, przecież on się doprawdy ożenił!..

— Nie, ja tego słyszeć nie mogę... gdy słyszę, jak mówią, że „Benjamin się ożenił,” to mi to życie odbiera... o, ty tego nie znasz, abyś nigdy, Ruchełe, tego nie zaznała! dlaczego się na mnie tak patrzysz?.. Benjamin przyrzekł mi i przysiągł, że ze mną się ożeni...

— I dlaczegoż się z tobą nie ożenił, Chaja-Etel?

— Pytasz, jak dziecko, Ruchełe—pewnie mnie nie przeznaczono, pewnie już w tem jej było szczęście...

— Przecież ci przysięgał, że ciebie weźnie..

— No, tak, przysięgał mi! ciągle się zbierał, żeby powiedzieć wujowi, odkładając to z dnia na dzień, bo go się bardzo bał (znasz przecie mego wuja Lejba), aż się zaręczył z tamtą; a gdy z nim o tem mówiłam, odpowiadał mi, że do wesela jeszcze daleko, że można będzie jeszcze pomówić z wujem —i przechodziły tak dnie i miesiące, aż nadszedł czas wesela... i ja sama byłam przy ślubie i własnemi oczyma wszystko widziałam, jak jej pierścionek włożył na palec i powiedział, co potrzeba... Kantor z chórem śpiewali, a Benjamin opuścił głowę, żeby mnie nie widzieć, ale wiem, że mnie wi-

dział... ach, Ruchełe, jakże ja żyć mogę? jak ja to wszystko wytrzymam?

— Jeżeli tak, to Benjamin jest przecie łgarz i nie wart wcale, żebyś go tak do serca brała.., i nie wart tego, że go święta ziemia na sobie nosi...

— Nie, nie mów tego, ty go nie znasz, nie wiesz, co to za brylant, co to było za drogie serce!.. on tu nic, nic nie winien, tylko ten wuj Lejb, ten zbrodniarz!...

— Ja widzę, Chaja Etel, że ci bardzo tęskno po nim.

— Tęskno, mówisz? ja umieram, żyć nie mogę, sił nie mam, a ty mówisz—tęskno.

— No, a ona, czy ładna przynajmniej kobieta?

— Kto—ona?

— No, ona, żona Benjamina...

Przy tych słowach Ruchełe zauważyła, że Chaja-Etel zarumieniła się, potem zbladła... Ruchełe nie mogła tego zrozumieć, czuła jednakże, że zapytać się powtórnie nie należy: „Widocznie ją to boli, jeżeli o tem mówić nie chce!..”

Po pewnym czasie Ruchełe spotkała się z Chają-Etlą na weselu, właśnie na weselu Chai-Etli. Chaja-Etel była narzeczoną, jak wszystkie narzeczone: siedziała jak przystoi

narzeczonej, milczała, szła do ślubu, była, coprawda, nieco blada, nieco rozmarzona, nawet smutna, ale to nic nie szkodzi, wreszcie—co to kogo obchodzić może?

Kto wie, co Chaja-Etel miała wtedy na myśli i co się w jej sercu działo. Serce żydówki to tajemnica, wielka tajemnica, to skrzynia, zamknięta skrzynia, a przytem czyż wypada żeby mężczyzna zaglądał do tej skrzyni?—przecież to jakoś nieładnie...

X.

Jeszcze o Ruchele.

Nad tem, co się dzieje w sercu Chai-Etli, Ruchele szczerze i serjo się zastanawiała na jej weselu; z nikim o tem nie mówiła, ale sama czuła dobrze, że Chai-Etli musi teraz być nienajlepiej, teraz, gdy siedzi z obcym sobie chłopcem, którego ma być żoną, i gdy jej Benjamin jest gdzieś tam ze swoją żoną... Miała nawet wielką ochotę zapytać Chai-Etli, co słychać z Benjaminem, co porabia, jak się miewa i czy listy pisuje? Lecz gdy zbliżyła się do niej i spojrzała w jej bladą twarz i usłyszała nowe westchnienia,—nie miała serca tego zrobić.

Po raz pierwszy to—śmiało rzec możemy, Ruchele zastanawiała się nad podobnemi rzeczami. Ruchele była sobie zwykłą żydowską dziewczyną, nie nadzwyczajnie mądrą,

ale też i nie głupią; nie miała pojęcia, co to romanse, bohaterzy, ale serce miała, tak, miała czyste żydowskie serce... dla czegożby więc nie miała odczuwać czyichś nieszczęść, albo przejmować się czyimś bólem? W owym czasie Ruchele była już zaręczona z Mojsze Mendlem, o którym tyle się nasłuchała dobrego, że uważała siebie za najszczęśliwszą na świecie.

— Bez uroku, co za szczęście, co za szczęście!—słyszała ze wszystkich stron.

— Pytanie, czy szczęście? reb Ajzyk-Naftuli to jeden z najzamożniejszych obywateli w Mazepówce i ma tylko jednego syna, jedynaka, i w dodatku—co to za syn! rzadkość! nie wielu takich znajdziesz!..

I w samej rzeczy Mojsze-Mendel był wybornym bachurem i mógł się każdemu podobać: wesoły, żywy, dobrą miał głowę do Talmudu, a charakter pisma miał taki, że w całej Mazepówce obnoszono jego pisaninę; nawet Motel Spreis, nauczyciel dziewcząt w Chmielnicku, oglądając pismo Mojsze Mendla z miną najlepszego znawcy, uznał, że narzeczony ma „złotą rękę" i jak z czasem się „wypisze", będzie z boską pomocą bardzo ładnie pisał.

Mówiła wprawdzie Ruchele z narzeczonym bardzo niewiele, bo gdzież wreszcie? Od Mazepówki do Chmielnicka dość daleko,

a widzieli się wszystkiego raz jeden i to tylko przez dwie godziny i wobec całego „minjanu" (10 osób) świadków, i w dodatku ona była w jednym, a on w drugim pokoju... Za to w ciągu całego roku pisywali do siebie prawie co tydzień.

Prawdę powiedziawszy, w tych listach— nacóż to ukrywać?—dość wielki udział miał Motel Spreis; ponieważ bowiem listy narzeczonego pisane były w trzech językach, musiał Motel Spreis się starać, żeby i narzeczona pod tym względem zawstydzoną nie została, a chcąc zarazem dowieść, że z chederu Motla Spreisa wychodzą dziewczyny, nie jak od innych zwykłych „szrajberów", — starał się by w listach narzeczonej figurował i język francuzki. Słowem, przez rok cały narzeczony z narzeczoną bawili się w pisaninę i wtedy tylko przestali, gdy się zaczęto już szykować do wesela.

Wesele przeszło, ot, jak wszystkie wesela żydowskie: trochę się nieszczególnie znalazła „strona" narzeczonej, co wzbudziło pewne niezadowolenie w krewnych narzeczonego, którzy się znowu dąsali, docinali i pocichu nazywali ojca narzeczonej „chazer", na co, nawiasowo mówiąc, poniekąd zasłużył... Ale to znowu nic tak wielkiego; wypiją po kieliszku, przeproszą się i wesele znowu weselem.

Narzeczona żegna się z krewnymi i przyjaciółmi, odprowadzają ją za miasto; całują się, płaczą, — pozbyło się nareszcie córki, która wyjeżdża do teściowstwa na „kest”.

XI.

I jeszcze o Ruchele.

Tam u teściowstwa zaczęło się dla niej nowe życie. Jako synowę, jedyną synowę i w dodatku udatną synowę, wszyscy ją odrazu pokochali i zaczęli skakać koło niej. A cóż dopiero mówić o teściowej, Dwosi—Małce, która nareszcie się doczekała takiej pociechy? ta wprost duszę by za nią oddała... Nic tylko Ruchełe i Ruchełe! najlepszy kawałek mięsa, kość ze szpikiem, albo inny smakołyk—wszystko dla Ruchełe.

Z samego rana, zaledwie młoda kobieta oczy otworzy, już na stole stoi dzbanek z kawą i Dwosia-Małka, pomimo że jest kupcową, kręci się po pokoju i uważa, żeby synowa wszystko miała do czasu.

— Dla czego się teściowa tak fatyguje?

— Nic nie szkodzi, pij, Ruchełe, jedz, Ruchełe!

Innym razem widzi Ruchełe, jak teściowa ledwo żywa wraca z targu i, jak szalona, wpada do kuchni, krzycząc i klnąc na czem świat stoi.

— Co jest, teściowo?—pyta Ruchełe.

— Nie pytaj lepiej... oj, co to za dziewczyna, ta moja służąca! (plagi Faraona na jej głowę!) co ja z nią mam!... wychodzi sobie na cały dzień i nie wraca. Myślałam, że ty dawno już wstałaś, a mleko kipi i kipi (oby dusza z „niej" wykipiała!), a ja lecę i sama nie wiem na jakim świecie jestem... W sklepie pełno kupujących, a mąż mój stoi sobie z rękoma w tył założonemi, jakby na weselu jakiem; więc proszę go: idź, zanieś do domu dwa świeże obwarzanki, może Ruchełe się chce jeść... no, jedz, jedz, Ruchełe, wyborne obwarzankit, kupiłam u Lejci, ja zawsze od niej kupuję, u kogo innego nie chcę, nie wzięłabym, gdyby mi górę złota nasypali; ale ją, Lejcię, lubię, żeby jej Bóg dopomógł! Ile ona biedna cierpi od tego męża swojego,—pijaka... Prawda, cóż to ja chciałam powiedzieć? mam taką głowę, że nawet nie pamiętam, co to ja.. sza! ot idzie ta piękność... gdzieżeś tak długo była, co?

I następuje nowa serja przekleństw i krzyków o mleko dla Ruchełe, o kawę dla Ruchełę, o śniadanie dla Ruchełe... słowem wciąż słyszysz: Ruchełe i Ruchełe. Nawet teść, zawsze zajęty sobą i swemi interesami, też śledzi za nią i ciągłą otacza ją opieką.

To ciągłe nadskakiwanie było dla Ruchełe bardzo przykrem. Przyznać należy, że

daleko mniej była do nich przywiązana niż oni do niej. Odnosi się to tylko do teścia i teściowej, Mojsze-Mendla wykluczamy, gdyż pomiędzy młodą parą zachodził dziwny jakiś stosunek, którego niepodobna nazwać ani dobrym, ani złym. Młoda para nigdy ze sobą dłużej nie rozmawiała i nawet przy najlepszych chęciach nie mogłaby mówić ze sobą Taki młody człowiek, jak Mojsze Mendel nie usiądzie przecie w biały dzień, by rozmawiać z żoną, a wieczorem, gdy pozostawali z sobą przez chwilę, to trwało to istotnie tylko chwilę, bo zazwyczaj przychodził do nich reb Ajzyk-Naftuli albo Dwosia-Małka ze dzbankiem, albo szklanką.

— Ot, Ruchełe, dla ciekawości skosztuj tych konfitur.

—Oj, przecież ja już ze sto razy kosztowałam te konfitury, teściowo!

— Idź, dziecko, idź, co ty mówisz? tych konfitur toś nawet jeszcze na oczy nie widziała.

I Ruchełe znowu kosztuje konfitur, które jej już z gardła wyłażą.

— Oj, biada mi! Ruchełe, jakże ty jesz? z czego chcesz żyć? Dalibóg, gdy ciebie ktoś z Chmielnicka zobaczy, to mnie przeklnie; pomyślą, że ja ciebie zamorzyć chcę głodem... „ładna teściowa! — powiedzą—jak

ona tę synowę karmi..." no, jedz, serce moje, jedz...

— Zostawcie mnie, teściowo, w spokoju, ja syta jestem, żebym tak całe życie syta była!

— No, zrób to dla mnie, ja cię proszę, czasami to i dla teściowej też coś zrobić należy, niech ci się zdaje, że jestem matką twoją, no jedz, nie sprawiaj mi przykrości, zjedz jeszcze kawałek...

I Ruchełe dławi się jeszcze kawałkiem i jeszcze kawałkiem, aż jej się życie przykrzy; wie bardzo dobrze, że są do niej szczerze przywiązani, i gdyby gwiazd z nieba zażądała, nie odmówiliby jej.. Ruchełe chce, więc musi być!

Ale człowiek nie jest ani wołem, ani gęsią; nie jest to zabawne, gdy tak za tobą ciągle łażą, na krok samego nie puszczą i tylko ci w gardło pchają a pchają, i siedzieć ci samemu nie dadzą i spać spokojnie nie dadzą... Ta ciągła nieustanna opieka wreszcie nudzi i nuży.

W takim mniej więcej stanie znajdowała się w owym czasie, kiedy się spotkała z Stempeniu. I nie miała nawet przed kim się wynurzyć: rodzice mieli ją za najszczęśliwszą na świecie i w listach do niej zanosiły modły do Wszechmocnego, który takiem ich szczęściem obdarzył; jej listy również

były pełne szczęścia i radości... Ale głęboko w sercu miała żal do Mojsze-Mendla za to, że trzymał się od niej zdaleka i siebie uważał za wyższego od niej, jak wreszcie wszyscy młodzi małżonkowie żydowscy. Mojsze-Mendel bynajmniej jej nienawidził, przeciwnie, był do niej bardzo przywiązany, całą duszą, całem sercem. Gdy razu pewnego Ruchele zachorowała, on ani na krok od jej łoża nie odstępował, wzdychał, martwił się, siły tracił.

— Oj, jak mnie to boli!—mówił do matki--trzeba by doktora albo felczera zawołać, ja na to patrzeć nie mogę, biedna leży, jakby w płomieniach... oj!

Na trzeci dzień Ruchele zrobiło się lepiej, Mojsze-Mendel nie odstępował jednakże od jej łoża i, siedząc u jej wezgłowia, miał sposobność mówić z nią nieco dłużej, jak zwykle.

Mojsze-Mendel przysunął się do niej tak blizko, że głowa jej omal nie spoczywała na jego kolanach. Ruchele podniosła niebieskie swe oczy na męża i czekała, czy jej czasem nie powie czegoś. Mojsze-Mendel odwrócił oczy i wtedy tylko, gdy Ruchele odwróciła wzrok ku oknu, patrzył na nią, a gdy ta na niego znowu spojrzała, znowu wzrok odwrócił... W ciągu całego roku była to pierwsza sposobność do dłuższego pogawędzenia

ze sobą, ale jak tu zacząć? Ruchele, jako kobieta, miała wszelkie prawo czekać, aż mąż zacznie, on zaś, jako dobrze wychowany młody człowiek, ustępował żonie pierwszeństwa... Tymczasem milczeli.

— Co jest, Mojsze-Mendel?

— Co „co jest"?

— Czego ty się patrzysz?

— Kto się patrzy?

— Ty się patrzysz.

— Ją patrzę?

— Któż więc się patrzy?

Ruchele odwraca się twarzą do ściany, a Mojsze-Mendel, gryząc rudą bródkę, patrzy się w nią długo, długo, i wzdycha... Ruchele odwraca się i łapie go na gorącym uczynku, gdy się patrzy na nią.

— Co jest, Mojsze-Mendel?

— Co „co jest"?

— Czego wzdychasz?

— Kto wzdycha?

— Ty wzdychasz.

— Ja wzdycham?

— A któż wzdycha?

I młoda para znów milczy; Mojsze-Mendel przysuwa się bliżej, jeszcze bliżej i chce nawiązać rozmowę.

— Słyszysz, Ruchele, ja właśnie myślę o tem, co ty właśnie mówisz...

Drzwi się nagle otwierają i Dwosia-Małka wpada z krzykiem.

— A co? czyż nie wiedziałam przedtem, że mi indyki zbiją wszystkie szklanki, filiżanki i talerze? Indyków mu się nagle zachciało!... No, jak ty się czujesz, Ruchele? mnie się zdaje, że ty masz febrę, tak, ja widzę, że to jest rodzaj febry... mówiłam ci przecie, prosiłam, żebyś nie wychodziła na ulicę bez chustki! Posłałam znowu po felczera, Ajzyk-Naftuli sam poszedł po niego.

— To nic, teściowo, to samo przejdzie.

— U ciebie wszystko przejdzie i przejdzie, dziecko; oj, trzeba trochę przysiąść.

I Dwosia-Małka przysuwa sobie krzesełko, żeby odpocząć.

— Wiesz co, matko, ty idź lepiej do sklepu, a ja już tu będę siedział — odzywa się Mojsze-Mendel. I oczy jego spotkały się ze wzrokiem Ruchełe, który się zdawał mówić: „oj masz rację, Mojsze-Mendel!"

— Alboż ja wiem, co ty mówisz!—odpowiada mu Dwosia-Małka, przysuwając się bliżej do łóżka, - ot, głowę znowu zawraca jakimś tam sklepem! co ja tam stracę! te zarobki wielkie dzisiejsze? Boże zmiłuj się!... Idź ty lepiej, Mojsze-Mendel, do mnie, do sypialni i połóż się trochę spać, całą noc nie spałeś!

I ot tak żyje sobie ta młoda para, mając wszystko u rodziców gotowe, ale bez chwili swobody, pod ciągłą opieką teściowstwa... Ale Mojsze-Mendlowi jeszcze to tak wielkiej nie sprawia różnicy i przykrości; zajrzy do książki, wtrąci się do interesów ojca, ma swoich towarzyszów, z którymi sobie od czasu do czasu podowcipkuje, pofigluje, —słowem Mojsze-Mendel żyje jeszcze jako tako.

Za to Ruchełe wcale nie żyje: kosztuje konfitury 20 razy na dobę, z nikim się nie styka, — przecież reb Ajzyka Naftuli synowa z „byle-kim" zadawać się nie może i „byle-kto" nie chce i z nią się zadawać, bo „byle-kto" ma siebie najczęściej za lepszego od niej... I tak wloką się nudnie jej dnie, jakby w więzieniu.

XII.

Ruchełe śpiewa piosenki.

Ot w takiem położeniu znajdowała się Ruchełe, gdyśmy ją widzieli na weselu córki reb Chaima Glok po oczepinach, stojącą przede drzwiami i oglądającą targ, sklepy, furę, ciągnioną przez woły i chłopca w dużej czapie zimowej.

Taki właśnie był stan jej duszy w owym

czasie, gdy po raz pierwszy usłyszała grę Stempeniu.

Muzykę lubiła Ruchełe bardzo, ach! i jak lubiła! gdy bywało usłyszy coś nowego, potrafi to powtórzyć natychmiast; nieraz z tego powodu mawiali rodzice, że „ona ma męzki łeb i gdyby się nie urodziła kobietą, cały świat wywróciła by do góry nogami..”. Widocznem jest, że rodzice jej domyślali się, że córka posiada dziwną w sobie jakąś moc, coś takiego... coś takiego, co w obecnych czasach nazywają talentem; myśleli też po swojemu, że zdolność ta mieści się wyłącznie w głowie, bo u nas, żydów głowa największą odgrywa rolę ze wszystkich 248 części ciała.

Do 15, 16 lat tedy śpiewała sobie Ruchełe, jakby ptak wolny, ale gdy się zaręczyła, otrzymała od matki następującą przestrogę:

„Pfe! dosyć już, córko, tego śpiewania! ładnie będziesz wyglądała, jak przyjedziesz do teściowstwa i ni ztąd ni zowąd zaczniesz mruczyć!...”

Ruchełe naturalnie zrozumiała, że to jakoś nie ładnie będzie wyglądało, usłuchała więc matki i przestała śpiewać... Jednakże zupełnie zaprzestać nie była w stanie, gdyż często pomimowoli, wprost siłą przyzwyczajenia, nuciła, sama sobie na razie

z tego nie zdając sprawy. I nie tylko, gdy była narzeczoną, ale nawet i po weselu kilkakrotnie zapomniała się i zaczęła nucić, a potem śpiewać na cały głos, nie spostrzegłszy nawet, że w pokoju jest teściowa...

Oj, ot tam, oj, ot tam,
Daleko, daleko,
Gołąbków stoi para...
Kochają się, całują się,
Lecz o czem prawią, nie wiem, nie!
Kochają się, całują się...

— Masz tobie!—wykrzyknęła Ruchełe, spostrzegłszy teściową.

— Nic nie szkodzi, nie szkodzi! — uspokajała ją teściowa, zaglądając do słoju z konfiturami,—wiesz, Ruchełe, ja się boję, że agrest mi się zaczyna psuć; żebym tylko nie miała tego, co w zeszłym roku,—kiedy to pół puda konfitur musiałam prawie wyrzucić...

A cóż dopiero mówić o Mojsze-Mendlu; przy nim, toby Ruchełe za nic w świecie nie śpiewała: boć i w samej rzeczy wygląda to jakoś dziwnie — głupio — ni ztąd ni zowąd przy mężu otworzyć usta i śpiewać!

Bardzo być może, że Mojsze-Mendel niby przeciw temu nie miał, a możeby nawet bardzo chętnie słuchał, gdyż słyszał ją już kilkakrotnie śpiewającą i wie, że ma cudnie słodki głosik, — ale jakżeby on wyglą-

dał we własnych oczach, gdyby siedział i słuchał piosnek swojej żony? ładne zajęcie dla młodego człowieka! żeby to tak jakoś saimo się złożyło, to dlaczegożby nie? owszem!... kilka razy już mu wypadło ją słyszeć, wtedy Mojsze-Mendel zazwyczaj przystawał, dobrze się wsłuchując, poczem nie omieszkał odkaślnąć, ażeby dać poznać, że w tej chwili dopiero przychodzi i niczego się nawet nie domyśla.

I tak przeżyła Ruchełe okrągły rok pomiędzy życzliwymi i dobrymi ludźmi, oddanymi jej sercem i duszą; i nie można powiedzieć, żeby jej było dobrze i nie można powiedzieć, żeby jej było źle. Pomiędzy *swoimi* czuła się jakoś nie swoją, pomiędzy życzliwymi sobie opuszczoną.

I tak siedząc czasami nad robótką, nad haftem, i przyśpiewując sobie, swoim zwyczajem, nagle uczuwała dziwny ból w sercu i ogarniała ją tęsknota za miejscem, gdzie dziecinne swe lata przepędziła.

Lecą, ach lecą
Złote te ptaki
Ponad wszystkie, wszystkie morza...
Pokłońcie że się,
Złote wy ptaki,
Matce mej drogiej, kochanej!
Lecą, ach lecą
Złote te ptaki

Ponad wszystkie, wszystkie rzeki...
Pokłońcie—że się,
Złote wy ptaki,
Ojcu memu kochanemu!...

Dwosia-Małka lubiła się często podkradać, ażeby posłuchać o czem śpiewa synowa.

— Co ci jest, Ruchełe, tęskno ci za domem?

— O nie, teściowo, tylko tak sobie!...— odpowiada Ruchele, ocierając łzy.

VIII.

Ruchełe otrzymała już liścik.

Pozostawiliśmy Ruchełe stojącą przed drzwiami Chaima Glok podczas oczepin, zagłębioną w myślach swoich, o których już mówiliśmy, a które teraz nagle przerwane zostały nadejściem Stempeniu.

Dzielny ten bohater, który się tak nagle rozmiłował w Ruchełe, dobrze zauważył, jak ta wyszła z pokoju; przeczekawszy nieco wyszedł w ślad za nią i zawiązał z nią długą rozmowę o Mazepówce i jej Chmielnicku, który znał bardzo dobrze ze wszystkiemi szczegółami. I jął naśladować i przedrzeźniać, jak mówi reb Kalman, jak chodzi reb Zalman, jak reb Aron Josceles tabaki zażywa, jak reb Herszełe Dajcz się patrzy, co wprawiło Ruchełe w świetny

humor. — Smiała się do rozpuku, ukazując białe drobne ząbki i cudne rozkoszne dołeczki, jakie się tworzyły na jej twarzy podczas śmiechu.

— Co to jest takiego—zapytał nagle Stempeniu—czem to wytłumaczyć, że nigdy pani nie widać na spacerze, ani w sobotę, ani we święto? już pani tu rok bawi, może więcej niż rok, a jeszcze nie widziałem jej spacerującej na Berdyczewskiej ulicy! — A mieszka pani aż gdzieś na końcu miasta, nie wiedziałem nawet, że pani jest tutaj... dopiero wczoraj o tem się dowiedziałem, jak ją zobaczyłem... wczoraj jeszcze chciałem mówić z nią; ale nie podobna było... nie zna pani naszych żydowskich miasteczek? zaraz zaczną obgadywać... niech się pani lepiej w sobotę przejdzie po ulicy Berdyczewskiej, tam całe miasto spaceruje... ale koniecznie, słyszy pani? koniecznie, w sobotę w południe, albo po południu na Berdyczewskiej ulicy!..

Ruchełe nie miała nawet czasu mu odpowiedzieć, gdyż teściowa Dwosia-Małka, zauważywszy, że nie ma synowej w pokoju, pobiegła jej szukać, a gdy ją wreszcie odnalazła przede dzwiami ze Stempeniu, przyznać należy, zdziwiła się niepomiernie.. „dlaczegoż tu stoi z muzykantem"... ale Stempeniu, który dobrze znał się na tego rodzaju

sprawach, zwrócił się do Dwosi-Małki z następującemi słowami:

— Mówimy tu właśnie z synową waszą o weselu, o weselu u rabina w Chmielnicku... synowa wasza była jeszcze dzieckiem, młodem dzieckiem, jak grałem na weselu u rabina w Chmielnicku, ona nie pamięta nawet tego.

— Rozumie się, jakże ma pamiętać? — odpowiedziała Dwosia Małka,—za to ja pamiętam to dobrze, byliśmy wtedy z mężem i nocowaliśmy w polu, tak ciasno było w miasteczku.

— Co wy możecie wiedzieć o tej ciasnocie i co się tam działo! ja wam lepsze rzeczy opowiem, -odpowiedział jej Stempeniu i zawiązał z Dwosią-Małką długą rozmowę o najrozmaitszego rodzaju kwestjach i tak ją zagadał, że Ruchełe mogła sobie tymczasem jaknajspokojniej, niepostrzeżnie prawie, przejść znowu do pokoju. Mówić wogóle, jakeśmy to już powiedzieli umiał Stempeniu wybornie, ale mówić ze starszemi babami, zagadać je i przegadać—to była niemal jego specjalność!

— A to ci śmiałość dopiero! — myślała sobie w duszy Ruchełe —rozkazywać mnie, żebym była koniecznie na Berdyczewskiej ulicy?... koniecznie! inaczej nie chce! a to

śmiałość dopiero! coś podobnego to tylko „klezmer" potrafi!...

Z takiemi myślami wróciła Ruchełe z wesela, a gdy nadeszła sobota i teściowstwo i Mojsze-Mendel po obiedzie poszli zwyczajem swoim spać,—Ruchełe siadła przy oknie, jak to robiła co sobotę, i nucąc półgłosem piosenkę, wyglądała na ulicę, gdzie przechodziły panny z Mazepówki, przybrane poświątecznemu, z czerwonemi lub niebieskiemi wstążkami w warkoczach, w żółtych, czerwonych i zielonych sukienkach podług ostatniej mody, w rękawiczkach i wyglansowanycb bucikach skrzypiących, — i szły wszystkie na Berdyczewską ulicę. Tam jedna przed drugą będzie mogła zaprezentować swoje wstążeczki czerwone i niebieskie, sukienki zielone, żółte i czerwone; tam rzucą okiem mimochodem na „bachurów", młodych „bachurków" w kortowych kapotkach i czapkach ze świecącemi daszkami; tam spuszczą w skromności oczy i będą się rumieniły pod natarczywem spojrzeniem „bachurów"; tam... słowem tam będzie życie!...

O, Ruchełe to zna, zna dobrze! i dlaczegożby nie? wszak też kiedyś była młodą dziewczyną z czerwoną, czy niebieską wstążką w warkoczu i również jak te, spacerowała z przyjaciółkami w Chmielnicku co sobota prawie, ale teraz?

Ruchełe się ogląda—wszyscy śpią i chrapią... wszyscy! tylko ona jedna nie śpi i siedzi tu pomiędzy nimi, jak pomiędzy umarłymi, jak pomiędzy prawdziwymi trupami, i oparłszy głowę na ręku w zamyśleniu, przypomina sobie piosenkę, którą śpiewała za czasów panieńskich:

Sama jedna na świecie,
Jak kamień, opuszczona,
Przemówić nie mam do kogo,
Chyba do siebie samej,
Jak kamień opuszczonej,
Przemówić niema do kogo...

— Dobrej soboty!

Ruchełe podnosi oczy i widzi... Stempeniu.

— Dobrej soboty! mówię...

„Co to jest?! Skąd on się tu wziął!” chciała Ruchełe zapytać i odstąpić od okna.

— Dobrego roku!—odpowiedziała jednak i zaczerwieniła się, jak ćwikła.

— Nie posłuchała mnie pani i nie wyszła na Berdyczewską ulicę... napróżno czekałem i oglądałem się... ja byłem... to jest, ja chciałem... ot, czytaj pani!...

I Stempeniu wręczył Ruchełe złożony arkusz papieru i w tejże chwili znikł.

Ruchełe długo, długo trzymała ten arkusz papieru, nie wiedząc, co z nim zrobić

i wogóle co to ma znaczyć. Gdy pierwsze wrażenie przeszło, rozwinęła papier i przeczytała, co następuje:

„Najdroższy mój aniele w niebie, gdy „jasne oblicze twoje po raz pierwszy uj „rzałem, jasno mi się przed oczyma zrobiło „i jasny ogień zapłonął w sercu mojem z „wielkiej miłości dla ciebie, duszo moja, „której niebiańskie oczy i jasna postać „przyciągają mnie od pierwszej chwili ca„łem sercem i całą duszą; i ja spać nie mo„gę przez ciebie, i widzę ciebie ciągle we „śnie, bez ciebie słońce staje się ciemnem „dla mnie, kocham cię, jak słodkie życie „moje i umieram i konam dla ciebie; z to„bą tylko żyć i widzieć cię ciągle przed „oczyma, i ciebie tylko kochać! Kochający „z całych sił i całujący zdaleka cudne oczy „twoje“

Stempeniu".

XIV.

Wróćmy do bohatera.

Pozostawmy na chwilę bohaterkę, a wróćmy do naszego bohatera.

Prawda, że list Stempeniu do Ruchełe napisany był nieszczególnie i obfitował w błędy ortograficzne, ale cóż na to poradzić?

Ojciec jego, bł. p. Berel Bas, gdy zauważył, że syn ma wielką chęć do gry, a do

nauki niema najmniejszej, zabrał go do swego rzemiosła i, wypróbowawszy wprzód na wszystkich instrumentach, pozostawił przy skrzypcach. Wreszcie Bereł Bas, który prócz niego miał sporo jeszcze dzieci, jaknajwyraźniej zapewniał, że Stempeniu odziedziczył talent po dziadku, reb Szmulke Tromajt (który się osobiście znał z Paganinim). I dlatego to właśnie Berel Bas kochał syna bardziej niż wszystkie dzieci swoje, które się całymi dniami włóczyły po ulicach obdarte, bose i nagie. Jakkolwiek Bereł Bas był nadzwyczajnie surowym i nieraz syna wybił, wyłajał, za uszy wytargał, jednakże uważał go zawsze za najlepsze dziecko, za podporę na stare lata.

Staremu Berelowi Bas nie sądzono jednakże widzieć i mieć go przy sobie na stare lata, bowiem gdy Stempeniu minęło 15 lat, puścił się w świat szeroki z trzema rublami w kieszeni i ze skrzypkami pod pachą. I tłukł się, gdzie tylko chcecie, we wszystkich okolicznych miastach i miasteczkach, pomiędzy rozmaitemi kompanjami „klezmerów". Dłużej niż pół roku utrzymać się na jednem miejscu nie był w stanie,— ciągnęło go zawsze dalej i dalej: z Mazepówki do Stepówki, ze Stepówki do Korca, z Korca do Bałty, do Starego Konstantyna, a stamtąd do Berdyczewa i tam dalej, aż

do Odessy. Tu dopiero spostrzegł się Stempeniu, że Odessa nie dla niego, że niewygodnie dlań przebywać w tak dużem mieście, gdzie się nie wyróżnia wcale, i gdzie nie brak lepszych grajków od niego,—puścił się więc w powrotną wędrówkę po małych miasteczkach, gdzie łatwo zabłysnąć i imię sobie wyrobić. I tak doprawdy się stało: wszędzie, gdzie się tylko zjawiał, słyszano już o nim naprzód, zupełnie tak, jak wiedziano wszędzie o małym „chazenie", którego nazywano „dus jüngełe", i chociaż bardzo niewielu go słyszało, jednakże każdy wiedział, że wędruje po świecie słynny „chazenek" „dus jüngełe". Toż samo było i ze Stempeniu,—wszyscy wiedzieli, że wędruje po świecie słynny Stempeniu, którego gra niema sobie równej. Dlatego łatwo zrozumieć ten entuzjazm, jaki towarzyszył zazwyczaj przyjazdowi jego wraz ze sławetną kapelą, gdyż w osiemnastym roku życia Stempeniu miał już własną kapelę i grywał na najbogatszych weselach, a z czasem pobił wszystkie inne znane kapele; jak naprzykład kanatopowych klezmerów, smilskich, policyńskich, szarogrodskich i wiele, wiele innych, które po świecie wędrowały.

Łatwo chyba zrozumieć, że przyjaciół tem sobie nie kupił, — przeklinano go i ży-

czono mu jaknajgorzej. Ale w oczy schlebiano mu i umizgano się doń; przyznać należy, że i w sercu nie żywiono doń głębszej nienawiści, gdyż sami „klezmerzy” przyznawali, że dość by wziął skrzypce do ręki, a już wszyscy inni grajkowie mogą iść spać.

Klezmerzy lubią bardzo przesadę i szarżę, u nich znajdziesz nadzwyczajne historje, cudowne opowieści i legend bez liku. I o Stempeniu opowiadali również nadzwyczajne rzeczy, a o skrzypkach jego przebąkiwano, że pochodzą od Paganiniego.

Gdy przyjeżdżał Stempeniu do jakiego miasteczka, miejscowi muzykanci, a zwłaszcza żony ich rzucały grad przekleństw na jego głowę.

— Cały okrągły rok człowiek suszy, pości, pożycza, zastawia, skórę ze siebie zjada! W miesiącu Elul ma być wesele u bogacza, tymczasem przyłazi jakiś zły duch, jakiś „szlimmazel” do wszystkich djabłów, jakiś Stempeniu, i wyrywa nam ostatni kęsek z ust—a niechże go licho weźmie!...

Prawdziwych wrogów jednak nie miał, bo był to, zaiste, poczciwy chłop z kościami! Po odegraniu gdzie wesela, przyłączał się zazwyczaj do miejscowej kapeli i własnym kosztem urządzał obiad, jak należy; nie skąpiąc wódki, porządnie sobie pohulał;

zostawiał przytem miejscowej kapeli prezenta, słowem, postępował z nimi wcale po ludzku.

— Słyszycie — mawiali zazwyczaj potem „klezmerzy"—wiecie co?—żydowskiej duszy ocenić nie podobna!

Najwięcej jednak sympatji znajdował Stempeniu w czarnych i niebieskich oczach córek muzykantów, do których wszędzie się zalecał. Gdy przysięgał córce „klezmerowskiej," że kocha ją nad życie i t. d., można mu było wierzyć, bo na razie doprawdy kochał. Ale zaledwie zdążył przejechać rogatki, miłość gdzieś znikała z wiatrem, a gdy przybywał do nowego miasteczka, znowu nowa miłość do córki miejscowego muzykanta, znowu przysięgał, że kocha nad życie, że szaleje, umiera, znowu pozostawiał prezenta, żegnał się, porzucał... i znowu ta sama historja...

Nie można powiedzieć, żeby się ta miłość zawsze pięknie kończyła, naturalnie dla niej, dla kobiety. Prawda, że przeważnie prędko zapominały o Stempeniu i wychodziły, jakby nigdy nic, zamąż. Kilka jednakże było takich, co tak głęboko uwierzyły temu urwisowi, że wróci nie dziś, to jutro, nie jutro, to pojutrze, aż w końcu zaczęły usychać i marnieć. I podczas gdy Stempeniu jaknajbezpieczniej całował gdzieś potajemnie w ciemnej sieni jakąś córką

„klezmerowską”, niejedna z jego narzeczonych leżała wtedy z głową utkwioną w poduszce, opłakując nieszczęśliwą swą dolę... Ot, takie nieszczęśliwe dziewczyny pozostawiał Stempeniu w każdem niemal miasteczku, w którem bawił z kapelą. Ale nie zawsze wszystko tak łatwo uchodzi!

Przyszła wreszcie kreska na Matyska!

Stempeniu wpadł!

Jednego dnia, Stempeniu przyjechał z kapelą do jednego z miasteczek w Polsce i grał na trzech weselach, wraz z miejscowymi „klezmerami”, którzy zwrócili się doń z pretensjami, przysięgając, że w razie gdy ich krzywdy nie uwzględni, wszystkie kości mu połamią. I byliby to napewno uczynili, gdyby Stempeniu, który wogóle dobre miał serce, nie połączył się z nimi.

Ponieważ między jednem weselem a drugiem upłynęło kilka dni, Stempeniu, nie mając co robić, zapoznał się z córką Jeszajki-skrzypka, z ładną, czarną, otyłą dziewczyną lat dwudziestu dwóch, trzech, — zakochał się w niej na dobre i, jak to u niego było we zwyczaju, całował, kupował prezenta, słowem—zachowywał się jak narzeczony.

Gdy nastąpił czas rozstania, powiedziała mu czarna dziewczyna, (nazywała się Fraj-

dla), ażeby przed odjazdem napisał „tnoim”. Stempeniu nie był do tego przyzwyczajony; kręcił się więc, wykręcał, wykręcić się jednak nie był w stanie. Frajdla-„kozak” ostro go wzięła w obroty i biedny Stempeniu zmuszony był uledz jej żądaniu. „Klezmerzy” porządnie sobie pohulali, pito przez trzy dni na cześć słynnego narzeczonego, używano całą gębą, dopóki narzeczony ze wszystkimi gośćmi nie wyjechali do drugiego miasta, trzeciego i t. d.

Stempeniu, rozumie się, wkrótce zapomniał i o zaręczynach i o tej czarnej dziewczynie, i po dawnemu robił swoje, t. j. miewał romanse we wszystkich miasteczkach, kochał, zapewniał, przysięgał... Ale niema nic wiecznego pod słońcem! na wszystko przyjść musi koniec, wybiła więc i czarna godzina dla Stempeniu!... Posłuchajcie, jakie mu się nieszczęście przytrafiło.

Razu pewnego przyjeżdża Stempeniu do jakiegoś małego miasteczka na Ukrainie, ażeby grać tam na weselu „gwira”. Gdy tak według zwyczaju swego przystawia się do córki Herszka—fleciarza (bardzo ładnej dziewczyny) i zapewnia ją naturalnie, że się z nią ożeni, wchodzi Mechci Pajkler z zaspaną twarzą i mruga do niego, mrucząc przez nos:

— Idźcie, Stempeniu, w sieni czeka na was jakaś dziewczyna.

— Dziewczyna? co za dziewczyna?

— Jakaś czarna dziewczyna z zielonemi oczyma.

Stempeniu pobiegł do sieni i ku wielkiemu zdziwieniu zobaczył czarną dziewczynę, córkę Jeszajki-skrzypka, narzeczoną swoją, Frajdlę!

— Co ty się tak patrzysz na mnie? co? nie poznałeś mnie? Patrzcie no, jak on mi się przygląda! to ja przecie, Stempeniu, to ja, Frajda, narzeczona twoja, córka Jeszajki-skrzypka.

— Ha?... ja wiem... a cóż? miałbym niewiedzieć? wiem! wiem!... ale skąd się tu wzięłaś? skąd?

— Skąd, pytasz się? — z domu, z domu tu przybywam, tak, Stempeniu, tak!

— No, cóż tam słychać? jak dawno już z domu jesteś?

— Co tam słychać? — nic, nic nowego! A z domu, uważasz Stempeniu, jesteśmy już 6—7 tygodni. Byliśmy, gdzie tylko chcesz; gdzieśmy tylko przyjechali, wszędzie mówią nam: „był, ale odjechał, pojechał dalej!" Jedziemy więc dalej, aż w końcu udało nam się natrafić na ślad... No, i co tam słychać, Stempeniu?

— Ha? ja?—nic, nic! cóż mam porabiać!

Chodź, Frajdla, cóż mamy tu stać?—Zwrócił się do niej, zauważywszy, że „klezmerzy” otaczają ich kołem, przyglądając się ciekawie czarnej dziewczynie o czarnych dużych splotach i zielonych oczach.

— Owszem, chodźmy! — odpowiedziała Frajdla.

I Stempeniu naprędce zarzucił na siebie palto, wziął laskę i poszedł się przejść z czarną Frajdlą. Po drodze obejrzał się dobrze, czy nikt ich nie podsłuchuje, i zwrócił się do Frajdli już z gniewem.

— Powiedz no mi, proszę ciebie, co to wszystko ma znaczyć?

— Jakto, „co to ma znaczyć”?

— Ano, niby to, że przyjechałaś tutaj.

— Patrzcie no! udaje, że nie wie... nieboszczyka udaje!

— Wiesz, co, Frajdla?—odezwał się Stempeniu z gniewem — słyszysz, Frajdla? nie lubię takich kawałów! pytam ciebie, dlaczego tu przyjechałaś, a ty mi jakiemiś drwinami odpowiadasz.

— Po co ja przyjechałam, chcesz wiedzieć? przyjechałam tu, Stempeniu, do ciebie! Powiedziałeś podczas zaręczyn, że nie dalej, jak za 2 tygodnie przyślesz liścik i wiadomość o dniu wesela. Tymczasem czekaliśmy i czekali z górą 2 miesiące, a gdy od ciebie listu nie było, postanowi-

łyśmy puścić się w świat „szukać wiatru w polu”, i takeśmy przeszły świat od końca do końca, aż Bóg nam dopomógł, żeśmy...

— Powiedz mi no, Frajdla, co to za „my”? ciągle jakoś powtarzasz „my”... przyszłyśmy, szukałyśmy?..

— Ano, my, to jest—ja z matką.

— Co? i matka twoja?! — wykrzyknął Stempeniu, jakby rażony piorunem,— co? i matka twoja? co ona tu będzie robiła?

— Cicho, czego tak krzyczysz? a co myślałeś, że sama jechałam? przecież panna nie jedzie sama! no, ładnie by to wyglądało!..

— Tak, ale co ona ma do mnie, ta twoja matka? co?...

— Jakto, pytasz się jeszcze? przecież to przyszła twoja teściowa.

— Co? ty, Frajdla, doprawdy, widzę, myślisz o weselu?

— No, a ty, Stempeniu, myślisz, że to żarty? co?

— Ot, głupstwo tam! Ani myślę nawet o tem!

Frajdla zatrzymała się chwilę, potem obejrzała się na wszystkie strony i zwróciła się do Stempeniu z temi słowy.

— Posłuchaj tylko, Stempeniu, nie myśl, że natrafiłeś na naiwną dziewczynkę! Ja ciebie, Stempeniu, dobrze znam, wiem, żeś

szarlatan, jakich mało, że lubisz dziewczyny i to co tydzień inną. Ale to wszystko nie szkodzi, wszystko do czasu, nic nie szkodzi... jesteś dobry chłop, dobre masz serce, a przytem potrafisz żonie dać utrzymanie, jesteś muzykantem, jakich niema, i dlatego ja ciebie chcę i dlatego ja wyjdę za ciebie i to jaknajprędzej. A to, że się upierasz, to wszystko naprożno! wierzaj mi, że szkoda fatygi twojej! Czekaj, daj mi ucho, to ci powiem taki sekret, że sam będziesz wiedział, że już wszystko przepadło, że nic tu już nie pomoże!

I Frajdla szepnęła „coś” na ucho Stempeniu, od czego mu krew w żyłach zastygła,—stanął jak wryty, nie mogąc słowa wymówić... Wtem nadszedł Mechci Pajkler i powiedział, że wołają go do „gwira” na wesele. Stempeniu pożegnał Frajdlę i wzdychając zapytał:

— Zobaczymy się, Frajdla?

— To też pytanie, czy my się zobaczymy?—odpowiedziała mu dziewczyna.

Stempeniu był teraz blady i dziwny smutek bił od jego twarzy. Znikła w nim nagle wszelka wesołość, zamarło w nim życie, jakby kto nagle wszystko mu odebrał.. Tak, Stempeniu czuł teraz koniec swego życia niezależnego, pełnego swobody i wesołości, czuł, że przestaje być ptakiem wol-

nym, że bierze na siebie ciężkie jarzmo obowiązków na zawsze, na całe życie. Żegnajcie długie wonne warkocze, piękne oczy! Żegnaj, żegnaj księżycu srebrny...

Co-prawda, Stempeniu opierał się, ile mógł, rzucał się, jak ryba w sieci, ale to się na nic nie zdało! Frajdla z matką stawały co chwila przed nim, jak ci umarli, co nam się we śnie ukazują i ciągną nas przed sąd Najwyższy, dla zdania sprawy z uczynków naszych .. Najwięcej bał się tej swojej przyszłej teściowej, która usta miała zesznurowane, niby sznurowadłem, a cała była w płomieniach, gotowa lada chwila oczy mu wydrapać, gdyby jej nie mitygowała nieustannie Frajdla.

— Daj spokój, matko, jeszcze zepsujesz, ty patrz tylko i milcz, uważaj tylko, aby się nam nie wysunął, aby nam z oczu nie znikł. Wszystko będzie w porządku — on mój, Stempeniu jest mój!...

XVI.

Samson u Dalili na kolanach.

Frajdla uparła się i postawiła na swojem. Wyszła więc zamąż za Stempeniu i wzięła go zaraz w swoje łapki; pomagała jej poniekąd matka, która nareszcie doczekała się pociechy zostania teściową. I biedny Stempeniu przez rok cały czuł się jak w piekle;

cierpiał, jak żydzi na wygnaniu, aż młoda para nie wyjechała do Mazepówki, gdzie Stempeniu w spadku po nieboszczyku ojcu przejął jego kapelę i osiadł na stałe.

— Dość już tej włóczęgi, Stempeniu, dość już natułałeś się po świecie, dość! — rzekła Frajdla do męża, z którym wszystko zrobić mogła, co chciała.

I zaczęło się dla Stempeniu nowe życie, zupełnie nowe. Za czasów kawalerskich był dumny i zuchwały, teraz stał się pokornym i potulnym, jak baranek, stracił całą swą moc, cały humor i we własnym domu nie miał odrobiny głosu.

— Ty myśl tylko o swojem—twoja rzecz kapela i wesela, na cóż ci pieniądze, cóż ci po pieniądzach, głupcze?—tak mawiała doń Frajdla, zabierając mu ostatni zarobiony grosz.

Na pieniądze była Frajdla nadzwyczaj łakoma. Wychowana u biednych rodziców, nigdy prawie grosza na oczy nie widziała, a za czasów panieńskich każdą wstążeczkę, albo grzebyczek do włosów musiała gorącemi łzami okupywać. Do 15 lat chodziła boso, była niańką u własnej matki i nieraz brała bicie od niej, albo od ojca, Jeszajki-skrzypka, który nie gardził alkoholem. Jadła „chorobę", ubierała się—o, wcale nie wyszukanie. . i tylko w Purym uda-

wało jej się zarobić kilka groszy za odnoszenie „szlach-hamones". Te kilka groszy chowała zazwyczaj skrzętnie na piersiach, ażeby matka nie wyłudziła ich od niej. I sypiała z temi pieniędzmi aż do Wielkiej-Nocy, ażeby sobie na święto kupić wstążeczkę albo grzebyk. I tak do lat osiemnastu, aż nagle urosła na wysoką, piękną, zdrową dziewczynę, na pannę na wydaniu!

Gdy Frajdla zaręczyła się ze Stempeniu, sama zdać sobie sprawy nie mogła ze szczęścia, jakie ją spotkało. Ale matka, która dobrze to rozumiała, nieraz tłumaczyła jej, że narzeczony jej to złota góra, ale wielki szarlatan, u którego rubel żadnej nie gra roli, a zatem nie powinna pozwolić pluć sobie w kaszę, ale starać się mieć władzę nad nim, jak ona ma władzę nad mężem swoim Jeszajką-skrzypkiem...

Gdy Frajdla została żoną, nie zapomniała słów matki i tak powoli zaczęła męża poucza', że żona winna wiedzieć wszystko co się dotyczy jej męża, bo żona to nie żadna obca, to nie żadna kochanica, i... a zatem, on powinien wiedzieć i czuć zawsze, że ma żonę.

Gdy Frajdla została gospodynią i co chwila miała nowego rubla, zarobionego przez Stempeniu, rzuciła się na te ruble, jak głodny na jadło. Była w nieustannej obawie,

anuż mąż potem nie będzie zarabiał, składała więc chciwie grosz do grosza.

— Dlaczego ty tak ciągle zbierasz i chowasz!— mawiał do niej nieraz Stempeniu, któremu postępowanie żony mocno się nie podobało.

— Wszystko zechcesz wiedzieć, to się zestarzejesz prędko!—odpowiadała mu Frajdla,—niech to ciebie nie obchodzi!

I robiła w dalszym ciągu swoje,—oszczędzała na każdym kroku, składała grosz do grosza, rubel do rubla, aż uzbierała porządną sumkę, którą zaczęła pożyczać na procent; z początku ot tak jakoś, z przypadku, bo się do niej zwróciła sąsiadka z prośbą o wyświadczenie przysługi i pożyczenie pieniędzy,—Frajdla wyświadczyła jej więc przysługę, dlaczegoż by nie? Następnie, gdy zauważyła, że pieniądze w ten sposób rosną, że z rubla staje się dwa ruble, zaczęła puszczać swój kapitalik w obroty; słowem, w końcu została formalną lichwiarką ze wszystkiemi wabnemi kruczkami tej ślicznej profesji,—czem—niech to pomiędzy nami zostanie, — zajmuje się wielu *naszych bogaczów*.

Dziwna rzecz, skąd się u tej Frajdli wziął teraz nadzwyczajny nałóg do pieniędzy? Ani u ojca, ani u nikogo ze znajomych „klezmerów" tego nie widziała i widzieć nie mogła. Czyż znajdziecie kogo, ktoby tak ma-

ło sobie z pieniędzy robił, ktoby tak mało grosz szanował, jak „klezmer?"

Żydowski muzykant, zwłaszcza w owe lata, kiedy każda żydowska rodzina żyła życiem bogobojnem, pełnem pobożności,— sprawiał wrażenie żydowskiego cygana, człowieka należącego do specjalnego szczepu, mającego odrębną etykę, a nawet odrębny swój „klezmerowski" żargon. Ludzie ci żyli zawsze wesoło, używali całą gębą, rok cały był dla nich jednym Purymem, wciąż się bawili, dowcipkowali, weselili, dokazywali, świat wywracali do góry nogami, w domu dowcipkowali z żonami, jedli kluski z grochem, jeżeli było za co, a dość często jedli „chorobę", ale zawsze pełni wesołości, tańcząc i skacząc, kładli się spać nie zjadłszy, nazajutrz, pożyczali, ostatnie poduszki zastawiali, potem wykupywali i potem znowu ta sama historja.

Córki „klezmerowskie" były sobie również zazwyczaj bardzo lekkie, wesołe istotki, niczem prawie nie krępowane. Słowem, świat „klezmerowski" był to sobie „Gan-Eden" (raj)!. A w „Gan-Edenie" komuż przyjdzie na myśl liczyć się z groszem i myśleć o jutrze?

Ojciec Frajdli również nie był „płaczącą duszą". Jeszajka-skrzypek był to coprawda prawdziwy kapcan, ale kapcan pełen życia

werwy. A gdy zarobił kiedy rubla, potrafił go w jednej chwili przepuścić; matka Frajdli również lubiła sobie użyć, t. j. zjeść, jak należy. Koszuli na ciele prawie nie mieli, ale jeść, to się jadło często suto, naturalnie, kiedy były pieniądze albo dopóki jeszcze w domu była jaka poduszka do zastawienia.

XVII.

Stempeniu żyje jeszcze.

Żal doprawdy tego biednego Stempeniu!

Ale nie jest jeszcze tak źle, moi panowie, jak się wam zdaje! Że Stempeniu nie miał głosu u siebie w domu i był pod pantoflem—to prawda. Ale zato miał swój światek, swój własny światek, w którym niebyło nawet myśli o Frajdli. Tam w tym światku był sobie Stempeniu wielkim panem i czuł się tam tak dobrze, tak dobrze!..

Przedewszystkiem pół dnia schodziło mu przy „repetycjach", przyczem dokazywano niemało,—„marszelik" dowcipkował, Mechci-Pajkler śmiał się głośno, opowiadano sobie najrozmaitsze historyjki o weselach... Każde bowiem wesele żydowskie ma swoje dowcipne przygody — tu narzeczony uparł się, i nie chce iść do ślubu, zanim mu nie wypłacą całego posagu, tam znowu narzeczona, gdy nadszedł czas, kiedy to na-

rzeczonego... i t. d... i cała kompania wybucha śmiechem, jakby kto z armaty wystrzelił!

— Co to tam za śmiechy znowu! jak to się rozhulali!—krzyczy Frajdla ze swego pokoju.

— Niech to ciebie nie obchodzi! — odpowiada Stempeniu dość ostro—do naszych interesów ty się nie wtrącaj, już ci to sto razy mówiłem...

I zdaje mu się w tej chwili, że jest w całem tego słowa znaczeniu panem domu, a nie pantoflem.

Resztę czasu tracił Stempeniu na strojenie się, na czyszczenie sobie ubrania i butów, żeby błyszczały jak lustro, na elegantowanie się.

Poczem brał laskę do ręki i w czarnej czapce z błyszczącym lakierowanym daszkiem wychodził na miasto na przechadzkę. Na mieście ma Stempeniu swoich znajomych, z którymi się spotyka; przechodząc koło sklepów, wita młode mężatki—kupcowe, które pieką raka, bo przypominają sobie, że kiedyś były pannami i wtedy znały się dobrze ze Stempeniu... wtedy było życie, był raj!.. a teraz, któżby tam myślał o takich rzeczach?..

Są jednak i takie młode mężatki, a także i panny, które ze Stempeniu stoją nie-

raz godzinami i rozmawiają o tem, o owem, śmieją się, dowcipkują...

Rzecz prosta, że takie rzeczy na sucho nie uchodzą... zauważy sąsiadka, opowiada to drugiej, ta - trzeciej, i z tego potem plotki i ploteczki.

— Cóż to znowu o tobie jakoś w mieście mówią? co? znowu jakaś historja?..

— Co za historja, Frajdla?

— At, twoje tam historje... całe miasto mówi o tobie.

— Nie wiem, czego chcesz odemnie, Frajdla.

— Czego ja chcę?—chcę, żebyś rzucił te wszystkie głupstwa—czas już doprawdy! Gdzie tylko jaka kobietka w mieście, to musisz z nią się zaraz zaznajomić i godzinami wystawać i gadać!... nagadać się nigdy nie możesz!..

— A ty niezawodnie myślisz, że mówiłem z Esterą, córką Abrama—Jankla?

— No, a z Esterą córką Abrama—Jankla to już możesz? co?..

— Ależ, przecież mówiłem z nią w interesie...

— Aha... interesy... znam ja twoje interesy, Stempeniu!

— Ażebyś wiedziała, że w interesie!.. reb Abram-Jankel ma zamiar wesele urządzić w Gontojarsku, takie warjactwo mu do gło-

wy przyszło, więc ja też w tym interesie badałem Esterę... bo przecież doprawdy grzech takie wesele z rąk wypuścić!..

— Cóż to mu nagle Gontojarsk przyszedł do głowy?..—pyta Frajdla i w oczach jej zielonych ukazuje się płomyk, jak zwykle gdy mowa o pieniądzach.

— Ot, warjat i nic więcej! — odpowiada Stempeniu zadowolony, że udało mu się zatrzeć wszystko i zażegnać burzę.

Tak się Stempeniu wykręca zazwyczaj, gdy mu Ksantypa dokucza. A wykręcać się umie, o! i jak jeszcze potrafi.

A gdy Stempeniu wyjeżdża gdzieś na wesele, czuje się jeszcze lepiej, jeszcze swobodniej, hula, używa całą gębą, wprost wracać mu się nie chce. Słowem, Stempeniu ma swój własny światek, do którego nie wpuszcza Frajdli, pomimo że ta gwałtem się doń wdziera i próbowała nawet podkupić Mechci-Pajklera, ale to jej się nie udało. W tym światku jest sobie Stempeniu panem, zupełnie nie tym samym Stempeniu, pantoflem Frajdli.

XVIII.

Stempeniu zaczyna się kochać.

W tym właśnie światku zaczęła Ruchełe wielką odgrywać rolę, największą rolę w całem jego życiu. List do Ruchełe napi-

sany był zupełnie szczerze, gdyż Stempeniu rzeczywiście pokochał ją od pierwszego spotkania na weselu u Chaim-Benziona.

Nie odrazu napisał on list ten — trwało kilka dni zanim iskra, którą zapaliły w jego sercu niebieskie oczy Ruchełe, rozniecila się w ogień, w płomień wielki, który go całego ogarnął. Wtedy Stempeniu zamknął się w pokoju i na papier nutowy przelał swoje uczucia.

Przyznać należy, że pocił się niemało przy pisaniu, które mu niełatwo przychodziło... ale cóż? czy artysta wreszcie koniecznie ma umieć pisać? Zwłaszcza, że Stempeniu nigdy się tej sztuki nie uczył...

Przez kilka dni nosił Stempeniu ten liścik przy sobie, nie wiedząc, w jaki sposób przesłać go Ruchełe. Mechci-Pajkler był nawet dość zdolnym „postillon d'amour", ale gdzieś w podróży... nie tutaj, gdzie Frajdla była niedaleko. Stempeniu nareszcie doczekał się soboty. Ubrawszy się, jak należy, wystrojony, niczem dziewczyna, wyszedł na Berdyczewską ulicę w nadziei, że spotka niezawodnie Ruchełe, że będzie mógł popatrzeć na cudną jej twarz i spojrzeć w piękne oczy. Ale napróżno! — wszystkie mężateczki, wszystkie panny z całego miasteczka kręcą się tu,

przyglądają mu się, pieką raka— wszystkie są tutaj, jej tylko niema!

— Pójdę w tamte strony, gdzie reb Ajzyk-Naftuli mieszka, może ją tam spotkam... myślał Stempeniu, powoli się zbliżając ku oknu, przy którem siedziała Ruchełe, zatopiona w smutnych myślach, i śpiewała znaną już nam piosenkę:

„Sama jedna,
Jak kamień opuszczona,
Przemówić nie mam do kogo,
Do siebie tylko samej,
Jak kamień opuszczonej...
Przemówić niemam do kogo"...

Z początku, gdy zobaczyła go, myślała, że to sen, boć już kilka razy we śnie go widziała. Ale gdy w ręku uczuła ten skrawek nutowego papieru i przeczytała jego liścik, zerwała się z miejsca i powiedziała do siebie:

— Szczęście jego, że sobie poszedł.. jabym mu powiedziała, toby wiedział dopiero... macie znowu jakiegoś tam Stempeniu!

Wzięła list, zawahała się, chcąc go wyrzucić przez okno, ale się powstrzymała, jeszcze raz przeczytała, zmięła i schowała do kieszeni.

Gniew jej wzrastał z każdą chwilą,—pragnęła go zobaczyć, ażeby go tak w cztery

oczy zapytać: czego chce? co to ma znaczyć? jak to nazwać? jakiem prawem odważył się na coś podobnego? kto jest on, a kto ona?...

I jęła przemyśliwać, jakby to się tak można zobaczyć z nim sam na sam, gdzieby ich nikt nie podsłuchiwał...

I wpadła na świetny pomysł!...

XIX.

Sznur korali.

— Moja teściowo, żeby tak niedrogo kosztowało, tobym sobie kupiła sznur korali, dobrych, ciężkich korali.

— No, przecież ci, Ruchełe, już sto razy mówiłam: przejdź się do Frajdli, żony Stempeniu, i wybierz, co ci się spodoba. Wreszcie, jeżeli chcesz, to chodźmy razem, dla mnie ona taniej odstąpi.

Nasza czarna Frajdla, zajmując się lichwą i mając mały lombardzik u siebie, często brała, jako zastaw, korale, które za psie pieniądze skupywała potem od dłużniczek swoich, i tak powoli, powoli zaczęła handlować koralami na dobre. Aż w końcu cała Mazepówka wiedziała, że ładny sznur prawdziwych korali dostać można u Frajdli, u Frajdli Stempeniu.

Dziwna zaiste rzecz, zkąd się wzięła do Frajdli taka zdolność do handlu, taki spryt

i taka umiejętność obchodzenia się z klijentelą! Gdy Dwosia-Małka z synową przyszły do niej do domu, ta powstała z miejsca.

— A, jakże się macie, Dwosia-Małko! gość w dom Bóg w dom! Wiecie, Dwosia-Małko, że dawno już was mam na oku...

— Dlaczego macie mnie na oku? cóż takiego?

— Jakto? rok już, jak sobie sprowadziliście tę perłę do domu, i nic! Żebyście to choć raz zaszli do mnie z synową, by wybrać coś takiego, co dla takiej perły pasuje! Pfe! Dwosia-Małko, to dalibóg wstyd!

— Macie doprawdy rację, złota Frajdło, ale cożem ja winna, powiedzcie, kiedy synowa moja nie chce nic, ani korali, ani nic!—ile ja się już nabłagałam!...

— Jakto nie chce? co znaczy nie chce? —u was to ona nie chce, ale u mnie jak zobaczy, to będzie chciała!

I Frajdla szybko otworzyła zielony kuferek i zaczęła wyciągać z niego jeden po drugim sznury korali, zachęcając i darząc życzeniami, jak prawdziwa kupcowa.

— Widzicie, Dwosia-Małko, żebyście tak mnie chcieli posłuchać, tobyście synowej doradzili wziąć ten sznur korali; żeby mnie tak Bóg strzegł od złego razem z wami, że nie potrzeba mieć lepszych. Włóżcie je tylko na szyję, ot tak... tak... Oj, żebym ta-

ki rok miała, jak wam w nich do twarzy, jak ładnie wyglądają na tej waszej białej szyi! Noście je zdrowo, i niech Bóg da, aby teściowa mogła wam na przyszły rok o tej porze kupić chociażby z pięc sznurów prawdziwych pereł! Oj, tak wam w nich do twarzy! No powiedzcie, Dwosia-Małko, przecież wy się znacie na koralach... żebym ja tylko, Boże, taki rok miała!

Przy tych słowach Frajdla wyciągnęła z kufra lusterko i postawiła je naprzeciw Ruchełe... Zielone oczki Frajdli błyszczały z zadowolenia, a na twarz jej wystąpił pot od namawiania, życzeń i zaklinania się.

— A Stempeniu wasz swoje robi, co?— zapytala Dwosia-Małka, wskazując na pokój, z którego dolatywały dźwięki melodyjne.

— Tak, on tam gra sobie! — odrzekła i zaczęła znowu wyciągać z kufra sznury korali. Tymczasem pomiędzy Frajdlą a Dwosią-Małką zawiązała się długa rozmowa, jak pomiędzy dwiema kupcowemi, gdy mówią o interesach.

Ruchełe siedziała, nie słuchając wcale ich rozmowy. Słuchała natomiast innej mowy, innych głosów, które zlatywały do niej ze skrzypiec Stempeniu i wrywały się do serca samego, do głębi duszy! I siedziała tak wsłuchana; zerwała się tylko, gdy Stem-

peniu nagle ukazał się we drzwiach. Oczy ich się spotkały, i oboje zapłonęli... Stempeniu zatrzymał się we drzwiach, nie wiedząc na razie co zrobić ze sobą,—czy pójść naprzód, czy cofnąć się, a Ruchele, nie spuszczając zeń wzroku, zaproponowała teściowej pójść do domu. Malka zerwała się nagle i załamała ręce:

— Oj, biednaż moja głowa! patrzcie no, jakeśmy się to zagadały! no, wiele chcecie Frajdlo, za te korale, co? Odemnie, Frajdlo, nie powinnyście dużo wziąć, ze mną musicie sumiennie...

— Na moje sumienie, słyszycie, Dwosia-Małko, żebym się udławiła dziś, jeżeli kłamię, Sosia dawała mi za te korale 18 rubli, żebym ja tak, Boże mój, zdrowa była wraz z mężem! Ale ja sobie tak myślę: — Sosia jest Sosią, a wy jesteście Dwosia-Małka... daję więc wam te korale za 15 rubli...

— No, 15 jak 15, ale 12 to wam, Frajdlo, dam, 12 rubli gotówką, co?

— Oj, żebyście zdrowa była, Dwosia-Małko, nie targujcie się!— wykrzyknęła gorąco Frajdla i schwyciła Dwosię-Małkę za ręce... Ruchele i Stempeniu mieli wtedy okazję kilka zdań ze sobą zamienić.

— Chciałem wam coś powiedzieć, Stempeniu.

— Coś wam powiedzieć chciałem, Ruchełe.

— Jużeście mnie mówili przecie.

— Kiedy?

— W liście.

— To jeszcze mało.

— To już zawiele.

— Nie, nawet setnej części nie powiedziałem.

— Myiicie się.

— Przysięgam na życie, ja konam, umieram! ja muszę się zobaczyć z wami, ale kiedy, gdzie?

— Ja nie wiem, gdzie i kiedy.

— Może wieczorem...

— Ale gdzie?

— Na Monasterskiej ulicy.

— Kiedy?

— W sobotę wieczór przy ogrodzie Monasterskim.

— Ja nie chcę, ja nie mogę...

— Musicie, Ruchełe, ja was proszę, wyjdźcie tylko na chwilę, na minutę, ja już będę czekał, w sobotę wieczór, ale koniecznie ..

— Ja nie przyjdę.

— Będziecie, Ruchełe, będziecie...

— No, córko,—odezwała sie Dwosia-Małka,—chodź, pójdziemy już do domu! zaledwie mi się udało utargować do 13 rubli.

O, Frajdlo, ja nie wiedziałam wcale, że z was taka dzielna kupcowa.

— E, i wy, Dwosio, umiecie się dobrze targować, no, ale nic nie szkodzi! wszystkiego dobrego, niech wam będzie na zdrowie! noście je zdrowo! używajcie zdrowo!

— Żeby ona o kuli chodziła! jak to mnie wymęczyła, wszystko się we mnie aż gotuje!—zwróciła się Frajdla do Stempeniu, zamykając drzwi za niemi. — A ta synowa, jak cielę, siedzi i milczy; tak jej do twarzy w tych koralach, jak świni w paciorkach!...

Skąd się jednakże wziął u Frajdli ten nałóg do pieniędzy? skąd wzięło się to jej sknerstwo? Kto wie, może to ztąd pochodzi, że u rodziców nigdy prawie grosza nie widziała na oczy, a może też leżało wprost w jej naturze... kto wie? może przez pomyłkę dusza sknery weszła w ciało córki „klezmerowskiej"?

Jakkolwiek bądź, Frajdla mówiąc o pieniądzach, wprost wpadała w entuzjazm.

Zazdrościły jej losu wszystkie „klezmerki", i doprawdy nic Frajdli nie brakło, chyba jednego tylko, a mianowicie dziecka. Bardzo być może, że z tego powodu tak kochała pieniądze i tak do nich była przywiązana. Boć widzimy najczęściej, że kobiety, które dzieci nie mają, są złe, opryskliwe, brak im jakoś tej miękkości kobie-

cej i ciepła matczynego,—takie kobiety potrafią kochać, ale chyba tylko siebie.

Taką mniej więcej egoistką była Frajdla. Chociaż nie można powiedzieć, żeby ona Stempeniu nie kochała, bo i za cóż wreszcie miałaby go nienawidzieć? — Przystojny był, jak rzadko kto, muzykant, jakich jeden się znajdzie pomiędzy tysiącami, a co najważniejsza, umiał zarabiać, i jak jeszcze zarabiać!

— Mój Stempeniu, — chwaliła się nieraz Frajdla przed sąsiadkami,—mój Stempeniu, jak raz pociągnie smyczkiem, już ma rubla, trzy razy—to trzy ruble, rozumiecie?

Stempeniu był przeciwstawieniem Frajdli —rubel nie grał u niego najmniejszej roli, —ot gra sobie na weselu, napycha kieszenie pieniędzmi i już nic z nich niema! Miał pieniądze, rozdawał, pożyczał, przepuszczał; nie miał pieniędzy, pożyczał. Pod tym względem był Stempeniu prawdziwym artystą; nic go nie obchodziło poza kapelą,—ot, zagrać nową jakąś rzecz, ułożyć nową operę, grać na weselu tak, aby goście palce lizali — to było jego zadaniem, jedyną prawie jego myślą.

Stempeniu na świecie prawdziwie kochał tylko dwie rzeczy: skrzypce i siebie. Sobą cały dzień zazwyczaj się zajmował: ubierał się po sto razy, przeglądał się w lu-

trze, fryzował sobie włosy, a gdy to robił, zapominał zupełnie o skrzypcach, Ale zato gdy brał skrzypce do ręki i raz tylko smykiem pociągnął, zapominał o sobie i o świecie całym. Gdy czuł się jakoś niedobrze gdy ogarniał go jakiś smutek, brał zazwyczaj skrzypce, zamykał drzwi, i tak nieraz przez trzy godziny wygrywał najrozmaitsze fantazje... Ot, płacze i jęczy tak smutnie, boleśnie, coraz ciszej i ciszej, a tu rozgniewał się nagle coraz głośniej i głośniej, coraz silniej i silniej, a tu znowu, gniew ognisty powoli ustępuje, jakieś westchnienia z głębi serca się wydobywają, i słyszysz jakąś słodką, miekką melodję, coraz smutniejszą i żałośliwszą... Wtem znowu nagle... dźwięki wesołe, skoczne, pełne życia i werdy... Coprawda, nie często mu się grać chciało, ale za to, gdy się dorwie kiedy do skrzypiec, oderwać go niepodobna.

— Ta tłusta Kajla przyniosła mi zeszłotygniowy procent, a za ten tydzień, powiada, że odda dopiero po sobocie!

Podobnemi mniej więcej słowy przyjmowała Frajdla męża, gdy ten wychodził ze swego pokoju, rozpromieniony, z dziwnym błyskiem w czarnych oczach. Był to właśnie ten błysk, co tak ciągnął do niego i porywał, a który znikał przy spotkaniu się ze wzrokiem Frajdli...

Gdy Stempeniu wracał z wesela z pełnemi kieszeniami, Frajdla spotykała go z uśmiechem, łasząc się doń, jak kotka.

— Na cóż ci pieniądze? — mawiała doń, przetrząsając jego kieszenie,—cóż ci po pieniądzach? czegoż ci u mnie brak? — masz przecie wszystko, czego tylko zapragniesz. Chwalić Boga, głodny nigdy nie jesteś, przyzwoicie ubrany też jesteś, a jak ci tak potrzeba kilku groszy, to czyż ci nie daję? co? Oddaj lepiej mnie te pieniądze, duszo moja, no, daj już, daj!

I Stempeniu stoi tak jak dziecko, które zawiniło i czeka kary, a Frajdla robi z nim, co się jej tylko żywnie podoba...

Ach, cóż się z tobą stało, Stempeniu? Takie „nic", jak żona twoja, Frajdla, ma ci po głowie skakać i za nos cię wodzić! Co się z tobą dzieje, Stempeniu, ty, Samsonie na kolanach u Dalili?..

Gdy Ruchełe przyszła do domu z korałami, teściowa przyprowadziła ją do teścia z takiem zadowoleniem, jak gdyby Bóg wie co się stało.

— Cóż ty, Ajzyk-Naftuli, powiesz o tych koralach, co, tanio? nieprawdaż?

— Wiele za nie zapłaciłaś?

— No, zgadnij sam, jesteś przecież kupcem, no zgadnij—wiele?..

— No, kiedy ja niewiem. czy ty tanio, czy drogo kupiłaś...

— Powiadam ci, za byle co, jak gdybym od złodzieja kupiła! ale też porządnie się namęczyłam i napociłam, targując się z tą szachrajką, żeby jej twarz spuchła! jak ona się targować potrafi, gębę ma jak na szrubach, żeby ona zmarniała! no, czegoż ty, Ajzyk-Naftuli, milczysz? powiedz nareszcie, posłuchajmy, czy ty się znasz, — no, wiele miałam dać za te korale?

— Wiele miałaś dać za nie? — odpowiedział Ajzyk-Naftuli z namaszczeniem—ot, te korale powinny kosztować... sza! niech ja ci tylko powiem akuratnie, mówisz, że tanio zapłaciłaś, no to pewnie sześć i pół rubla, ale warte są conajmniej siedem.

— Gapo! — huknęła Dwosia-Małka, jakgdyby kto z armaty wystrzelił, że aż biedny Ajzyk-Naftuli drgnął i o kilka kroków w tył się cofnął. — No, widział kto, słyszał kto? to głupiec dopiero! co? taki sznur korali za sześć i pół rubla? ty zwarjowana głowo! czy ty oczów nie masz, czy co u licha?

Reb Ajzyk Naftuli mrugał oczyma i bał się słowo wymówić, lecz na szczęście wró-

cił do domu Mojsze-Mendel, do którego zwróciła się też zaraz Dwosia-Malka, by on ocenił korale.

— Żeby tak nie przesadzić, to te korale muszą kosztować ze trzy ruble!—odpowiedział Mojsze-Mendel po dość długim namyśle.

Dwosia-Małka omal się nie rozpłakała ze złości.

— Także mi kupiec! — odpowiedziała w gniewie, - tyle się znasz, co twój ojciec— niedołęga! dlaczego ci akurat wypadło powiedzieć 3 ruble, może mniej? co?

— Dlatego, że one więcej nie warte, matko; dlatego, że to zwyczajne korale; ja już, dzięki Bogu, widziałem w życiu korale...

Cały dzień kłócono się o te korale. Dwosię-Małkę najbardziej gniewało, dlaczego mężowi wypadło powiedzieć akurat sześć i pół rubla?

— Żeby mnie lepiej pistoletem w samo serce trafił, tobym już wolała, niż słyszeć te jego „sześć i pół!“. Chociaż niech te szachrajkę cholera weźmie dziś jeszcze, za to, że mnie oszukała (mnie nikt jeszcze nie oszukał!)... niech ona ma czarny, gorzki rok razem ze swoim Stempeniu!

Ale poco jeszcze komu na rany sól sypać i ocenić akurat sześć i pół? najwięcej mnie złości te „sześć i pół!“ Sześć i pół tuzina wrzodów na jej ciało, sześć i pół febr na

jej wątrobę!... Ja jej moje pieniądze, jak psu z gęby, wydrę!

—Ale dlaczego temu głupcowi wypadło akurat $6^1/_2$? dlaczego?... chyba dla tego tylko, żeby mnie zdenerwować, żeby mnie do pasji doprowadzić!...

Cała ta scena wywarła tak przykre wrażenie na Ruchełe, że zdjęła korale i schowała je na dnie skrzyni z postanowieniem nie wkładania ich już nigdy. Najbardziej gniewało ją, że Mojsze Mendel, kłócąc się cały dzień o te korale z matką, nie przypomniał sobie wcale, że należy powinszować żonie i życzyć jej, „by jaknajdłużej je nosiła!” Cały dzień prowadzono ją za ręce, oglądano i taksowano korale na jej szyi; każdy podnosił jej głowę, obmacowywał korale, a o niej zupełnie zapomniano, jak gdyby jej wcale nie było na świecie. Ruchełe, która z natury była bardzo dobroduszną, dziś była wprost wściekła na wszystkich, a zwłaszcza na Mojsze-Mendla, który, zjadłszy jaknajspokojniej obiad, udał się do „bethamidraszu” na jakąś „bibkę” i pozostał już sobie tam do samego rana.

Ruchełe była cała wzburzona, twarz jej pałała jakimś dziwnym ogniem, głowa bolała, a w uszach dzwoniło i gwizdało... bie-

dna nie wiedziała, co się z nią dzieje! Wieczerzy zjeść nie mogła, pomimo, że Dwosia-Małka swoim zwyczajem spokoju jej nie dawała, zachęcając aż do znudzenia, żeby coś zjadła, albo przynajmniej wypiła... Ruchełe uciekła do swego pokoju, położyła się spać i.. z oczu jej polały się nagle łzy gorące...

* * *

Dlaczego płacze, sama nie wiedziała, nie czuła nawet, że płacze; już od pewnego czasu tak jej jakoś na sercu było cieżko, bardzo ciężko!... Ruchełe, jakeśmy to już o tem poprzednio nadmienili, czuła się samotną, czuła, że jej czegoś brak, ale czego—sama nie wiedziała i nawet zdać sobie z tego sprawy nie była w stanie. Ruchełe czuła tylko i wiedziała napewno, że ją rodzice wydali zamąż, aby się tylko jej pozbyć, i to ją bardzo bolało. Pozatem bardzo jej się dali we znaki teść z teściową, prześladując ją tą ciągłą nudną miłością, gorszą nieraz od nienawiści... Najbardziej jednakże raził ją Mojsze-Mendel ze swojem dziwnem zachowaniem się i tem dzikiem niemal traktowaniem jej; wiedziała, jak niewiele najmuje miejsca w jego życiu, pomimo piękności, dobroci i wierności swojej.

A teraz ta cała historja, to straszne przejście ze Stempeniu, — czyż to żarty? Ruchele, ta uczciwa, pobożna Ruchełe, ma głowę zaprzątniętą obcym mężczyzną, otrzymuje odeń liściki, spotyka się z nim i w dodatku czuje, że ją coś do niego ciągnie, — nic złego, uchowaj Boże! ale tak, chciałaby go widzieć i słyszeć, jak gra...

— Ach ta jego gra, ta gra! Ruchełe nie jadłaby, nie spała, aby tylko słyszeć go grającego, widzieć go, widzieć Stempeniu... oczy jego, gdy patrzą na kogo, tak jakoś mile grzeją, palą... ach, te jego oczy!...

Ruchele czuje się silnie podniecona i nie wie, co ma zrobić ze sobą, nakrywa się kołdrą, kryje głowę w poduszce i nagle widzi przed sobą dawną przyjaciółkę, nieboszczkę Chaję-Etlę. Ruchełe przypomina sobie tę miłosną historję pomiędzy Chają-Etlą i Benjaminem... dreszcz przechodzi po niej. Zrzuca kołdrę i słyszy nagle znajomą melodję, znajomą grę na skrzypcach; Ruchełe przypuszcza, że to sen, że zdaje się jej tylko, ale coraz wyraźniej, coraz bliżej słyszy cudną grę na skrzypcach. Ruchełe poznaje teraz grę Stempeniu, domyśla się, że niezawodnie odprowadza rodziców państwa młodych po ślubie... ale zkąd on się tu wziął? na tej ulicy nie ma przecież dziś żadnego wesela! co to ma znaczyć? Ale bęben daje

się słyszeć coraz bliżej i bliżej! cała kapela gra dziś pięknie, ale najbardziej odznaczają się skrzypeczki Stempenin...

Ruchełe wyskakuje z łóżka, zbliża się ku oknu, otwiera je i cała prawie przez nie się wychyla.

Dawno już tak cudnej nocy nie widziała! Księżyc świeci na środku nieba, usianego gęsto gwiazdami; powietrze ciepłe, lekkie i świeże, najmniejszego wietrzyka niema, tak, że na topolach wyglądających z klasztornego ogrodu liść nie drgnie; tylko od czasu do czasu przypływa cała fala wonnego powietrza, które w Mazepówce tem większy posiada urok, że cały dzień oddycha się tam innemi woniami.

Ślicznie harmonizuje z cudną tą nocą nasza piękna Ruchełe, —ta piękna, czysta, bogobojna Ruchełe, ze swą białą długą szyją, po której spływają jasne jej włosy... oczy jej mają kolor nieba, a twarz nie mniej piękna od owej nocy, tak cudnej i pogodnej... Ale Ruchełe ani myśli o tem wszystkiem, cała jej istota jest tam, zkąd płyną te cudne tony.

Kapela gra coś bardzo smutnego, rzewnego, jak gdyby kogo chowano... Dziwna rzecz, żydzi gdy weselą się i radują, lubią słyszeć coś w rodzaju marsza pogrzebowego! Lecz smutniejszą jeszcze wydaje się ta

gra teraz po północy, gdy cały świat we śnie spoczywa, a tylko niewielka garstka żydów rozwesela się za pomocą „czegoś ızewnego", wracając ze ślubu ze spuszczonemi głowami... Cóż jest? ludzie pozbyli się dziecka, czyli, jak oni mówią, zabezpieczyli swoje dziecko!

W cudną tę noc letnią skrzypce Stempeniu więcej jeszcze przemawiają do duszy, za serce chwytają, duszę wyciągają, wprost życie odbierają! Ruchełe stoi tak przy oknie rozebrana i słucha a słucha; chciałaby uciec ztąd, zamknąć okno i uciec, lecz coś ją trzyma i odejść nie daje; stoi więc tak wpatrzona w dal, wsłuchana i zda jej się, że nie grę słyszy, ale że ktoś, jakby Stempeniu, do niej mówi, przemawia, prosi, błaga, płacze...

Ale nietylko Ruchełe wsłuchana w tę grę: księżyc i gwiazdy, powietrze, cała natura obudziła się nagle ze swej drzemki, aby się przysłuchać dziwnie pięknym melodjom, które nagle płyną dokoła... Zkąd ta dziwna muzyka teraz po północy?

Rozbudziła ona i zazdrosnego słowika, któremu nagle zachciało się zagłuszyć swym śpiewem ten potok melodji, ale mu się to nie udało... Był już lipiec, biednemu piewcy z głosu nie wiele już pozostało. I nieprzymierzając, kogut, ten krzykacz, obudził

się także i usłyszawszy grę, pomyślał widać, że już ranek, zawtórował więc swojem przeciągłem „kukuryku!” Nawet gdzieś daleko, na Monasterskiej ulicy psy zaszczekały, zawyły, ale wnet umilkły. Słowem, wszystko nagłe przebudziło się, ożyło i wsłuchało się w ową cudną grę podczas pięknej jasnej pogodnej nocy letniej.

I Ruchełe stoi przy oknie, jakby łańcuchami przykuta, stoi, nie poruszając się z miejsca, i zachwycona sama nie wie, na jakim jest świecie. „No, a to noc cudna! to noc dopiero! Boże, mój Boże!”... Stoi tak wsłuchana całą swą istotą, połykając świeże powietrze, i jak oszołomiona patrzy na niebo i przypomina sobie dziwne te czasy, kiedy była jeszcze panną i śpiewała piosenkę:

Księżyc świeci o północy,
Perła siedzi przede drzwiami,
Płacze, wzdycha w zamyśleniu!..
Oj, gorzko jej biednej, gorzko!
Płacze wzdycha w zamyśleniu..
Oj, gorzko jej biednej, gorzko!

Dawniej nie rozumiała nawet dobrze tej piosenki, teraz za to ją rozumie, o, dobrze rozumie! A może nie tyle rozumie, ile czuję, odczuwa ją... czuje teraz, że ją ciągnie tam, na powietrze, że tu duszno, ciasno i tak źle, tak źle!.. I przypomina jej się jeszcze

jedna piosenka, którą wyśpiewywała za czasów panieńskich:

Ach, nad brzegiem wody stoję
I przyjść do ciebie nie mogę.
Oj, ty wołasz mnie zdaleka —
Nie umiem ja, biedna, pływać!...
Oj, ty wołasz mnie zdaleka —
Nie umiem ja, biedna, pływać!

„Zdaleka?" — przecież on już blisko.. Ot już go widać, widać już Stempeniu ze skrzypcami, z czarnemi jego włosami, z jego ognistemi oczyma, które tak palą, grzeją, i chciałaby w tej chwili wiecznie tak stać przy nim, patrzeć mu się w oczy... jednej tylko rzeczy zrozumieć nie jest w stanie — skąd on się teraz wziął tutaj?

Skąd on się wziął tutaj? — tego żadną miarą zrozumieć i wytłumaczyć sobie nie była w stanie... Ruchełe przypomniała sobie, że gdzieś na ulicy synagogalnej jest dziś wesele, ale skąd się oni tu wzięli? I wtedy dopiero zrozumiała, gdy blisko domu teścia ujrzała Stempeniu z całą kapelą, wtedy dopiero rozwiązała tę dziwną zagadkę, gdy zobaczyła, że Stempeniu zatrzymał się przed ich domem, akurat pod jej oknem, i zaczął grać jeszcze czulej, jeszcze rzewniej. Wtedy dopiero zrozumiała, że Stempeniu ciągnął za sobą całą te kapelę i wszystkich krewnych państwa młodych na

ulicę, gdzie oni mieszkali... i to dla kogo? dla niej... Z początku cieszyło ją to niepomiernie, serce jej się tak radowało, że omał z piersi nie wyskoczyło, śmiała się, chichocząc jak małe dziecko, i nagle wybuchła głośnym śmiechem, aż się sama przeraziła swego głosu, obejrzała się, spojrzała po sobie — stała bosa i naga, z włosem rozwianym, — odskoczyła czemprędzej od okna i rzuciła się do łóżka.

— Oj, biada mi! — myślała Ruchełe—do czego to człowiek dojść może, gdy się nie zastanowi, co robi! Śród nocy stać przy oknie przed takim tłumem ludzi!... nosić się z takiemi pustemi nieprzystojnemi myślami o jakimś Stempeniu... a ten Stempeniu, ten Stempeniu też nie wie, co się z nim dzieje; słyszał to kto, żeby cały tłum ludzi wlec za sobą, Bóg wie na co i po co... Nie, muszę się z nim rozmówić stanowczo; on mnie chce unieszczęśliwić... W sobotę wieczór, powiada, na Monasterskiej ulicy, wszystko mi wyjaśni... Chciałabym, żeby już była sobota, dowiem się przynajmniej, czego on chce odemnie... Wyjdę do niego, wyjdę... czegoż się mam bać?—bać się tylko Boga należy! Czego on właściwie chce odemnie? Ale któż winien, jeżeli nie ja sama — nie powinna byłam z nim mówić wcale... Gdyby Mojsze-Mendel nadszedł, opowiedziała-

bym mu wszystko... ale cóż to go wszystko obchodzić może, on sobie teraz tam gdzieś hula... No, trzeba zmówić modlitwę przed snem...

„Liszuoscho kiwisi Adonaj
„Kiwisi Adonaj liszuoscho
„Adonaj liszuoscho kiwisi"...

Ruchełe nakrywa się kołdrą, aby nie słyszeć dolatujących ją dźwięków melodji, i głośno zmawia modlitwę, ale przez okno wkradają się pomimo to rzewne, słodkie tony skrzypiec Stempeniu, coraz cichsze i cichsze, a im bardziej się oddalają, tem dźwięczą rzewniej, wkradając się do duszy... w końcu zamarły. Powieki Ruchełe kleją się do snu, i młoda kobieta nieświadomie niemal szepcze słowa modlitwy.

„liszuosch. . . . .
„kiwisi . . . . liszuoscho
„ . . . . . . kiwisi . . .

I Ruchełe zasypia.

I śni jej się, że Stempeniu wkłada jej na szyję sznur korali. Po jednej stronie stoi teść w tałesie i modli się, a Frajdla bije go i łaje na czem świat stoi... Mojsze-Mendel pijany, jak bela, jedzie wierzchem na łopacie, krzywi się i krzyczy jak warjat, — a

Stempeniu wkłada jej na szyję sznur korali... Po drugiej stronie stoi Chaja-Etla ubrana po szabasowemu, uśmiecha się jakoś tak mile, słodko i zapala mnóstwo świec...

— Co ty robisz Chai-Etla?—pyta Ruchełe—czemu tyle świec zapalasz?

— Cóż to za pytanie znowu—odpowiada ta z uśmiechem—czyż nie wiesz, że się sobota zaczyna? czas już zmówić modlitwę nad świecami.

Ruchełe spogląda na świece, a Stempeniu wkłada jej na szyję sznur korali... stoi tuż blizko przy niej, patrzy w nią, jak w tęczę, i pali swym płomiennym wzrokiem... Ruchełe w najwyższym zachwycie śmieje się, skacze i śpiewa, a Stempeniu wkłada jej na szyję sznur korali...

Nagle świece gasną, Chai-Etel i wszystko, co było przedtem, niknie... ciemno i zimno, jak w grobie... wiatr świszcze, a słychać zdala cudną melodję, słychać, jak grają cudne nadziemskie skrzypce... Tak, to skrzypce Stempeniu, ale jego już niema; nie widać go wcale, ale skrzypce jego dają się słyszeć tak rzewnie, tak dziwnie-smętnie, jak gdyby ktoś płakał, łzami gorącemi się zalewał, łkał... To płacze pewnie Chai-Etel nad swem życiem złamanem, nad latami młodości, które, jak sen, przeleciały,

nad ukochanym Benjaminem, który wolał ożenić się z bogatszą, a o niej zapomniał...

— O, matko! — wykrzyknęła Ruchełe, zrywając się nagle ze snu. Po chwili jednak odwróciła się na bok i znowu zasnęła. I widzi znowu dziwaczne jakieś sny i znowu widzi i czuje, jak Stempeniu wkłada jej na szyję sznur korali.. Potem przychodzi znowu Chai-Etel z czarnemi świecami i płacze, wzdycha, jęczy... i nagle znika.

XX.

Pierwsze płomienie.

Na Monastyrskiej ulicy, o której już mówiliśmy, miało tedy miejsce pierwsze „rendez-vous" naszej zakochanej pary—Ruchełe i Stempeniu.

Ruchełe przybyła tu nie jako grzesznica, nie jako niewierna żona na schadzkę z kochankiem,—uchowaj Boże! Przybyła ona tutaj w zupełnie innym celu; oto chciała przedewszystkim zapytać Stempeniu, jakiem prawem on, „klezmer", ośmielił się napisać list, i w dodatku taki list, do niej, do Ruchełe, do żony Mojsze-Mendla?

— Nie, ja muszę nareszcie rzecz tę wyjaśnić—myślała— muszę mu raz na zawsze zapowiedzieć... jak to się mówi: lepszy pierwszy gniew, pierwsze kłótnie, aniżeli...

Nie odrazu jej to na myśl przyszło.—Ruchełe miała dość czasu nad tem wszystkiem dobrze się zastanowić... I co ona biedna przez ten tydzień przeżyła! co za walkę staczała z sumieniem i z pokusą!... Nie, przepraszam, użyłem nieodpowiedniego wyrażenia, bo czyż da się wyraz „pokusa“ zastosować do naszej Ruchełe, do tej prawdziwie czystej i poczciwej kobietki, która żadnego romansu nawet nie czytała i pojęcia o niczem podobnem nie miała, z wyjątkiem chyba tylko tej romantycznej nieco historji o Chai-Etel i Benjaminie, o której wyżej wspominaliśmy?...

Skąd do niej pokusa?... Gdyby była jeszcze panną, to kto wie? ale teraz ona, mężatka, żona Mojsze Mendla, ona, z takiej rodziny pochodząca?

Była sama na siebie oburzona, wściekła, i miejsca sobie w domu znaleść nie mogła: ot położyła się na łóżku i myśli, nagle zrywa, się, jakby w gorączce, i sama nie wie, co jej jest,—tak jakoś dziwnie jej na sercu, że chciałaby uciec gdzieś daleko, sama nie wie dokąd..

Ruchełe bierze „tajtsz-chumesz“* i—dziwna rzeczo — oczy jej zatrzymują się na na-

*) biblja w tłum. żargonowem

stępujących wierszach: „I wyszła Dyna, córka Lei, którą była urodziła Jakóbowi, aby oglądała córki onej ziemi; a ujrzawszy ją Sychem syn Hemora Hewejczyka, książęcia ziemi onej, porwał ją gwałtem... i spoiła się dusza jego z Dyną, córką Jakóbową, a rozmiłowawszy się dzieweczki, mówił do serca jej i t. d...."

Tu wyobraźnia Ruchełe rozpłomienia się coraz bardziej i maluje jej dziwne obrazy, jak to Stempeniu porywa ją gwałtem i unosi gdzieś daleko, daleko...

— Kto wie, może lepiej, żem wtedy nie wyszła doń na Monasterską ulicę — myśli Ruchełe i czyta dalej „tajtsch-chumesz":

„Midrasz powiada, że kobieta, która siedzi w domu, nigdzie nie wychodząc, tym czynem bogobojnym rozgrzesza wszystkich należących do rodziny grzeszników, podobnie, jak ołtarz ongi rozgrzeszał wszystkie grzechy całego świata, bowiem powiedziane — żona twoja niechaj będzie winnicą.. i t. d.."

Ruchełe czyta, lecz powoli myśli jej wracają do Stempeniu i do ulicy Monasterskiej, gdzie przyrzekł czekać na nią pod tem dużem drzewem...

— Chciałabym go się tylko zapytać, czego on właściwie chce odemnie?

I staje nagle przed nią nieboszczka Chai-Etel, która tyle wycierpiała z miłości do

Benjamina... no tak, ale Chai-Etel była przecie panną, o ona, Ruchełe, jest żoną innego, żoną Mojsze-Mendla; a wreszcie któż jest ten Stempeniu?—jakiś „klezmer“ obcy, nieznajomy, ani brat, ani swat, a ośmiela się pisywać do niej liściki jakieś! co to za poufałość, co za zuchwalstwo, co za bezczelność ze strony takiego „klezmera"!...

— Żeby nawet świat runąć miał,—postanowiła w końcu--muszę się z nim zobaczyć, muszę mu to powiedzieć. Czegoż ja go się boję? będę tam, zobaczę się z nim, nikt nas nie może zauważyć, wyrwę się z domu na chwilę, przecież to ot tu niedaleko, tu naprzeciwko.

I Ruchełe wygląda przez okno, skąd widzi Monasterską ulicę, ogród i drzewo, pod którem za godzinę zobaczy się z nim i rozmówi nareszcie sam na sam, stanowczo.

I dziwna rzecz! czuje, że serce jej bije silnie, czuje, że minuty godzinami jej się wydają, chciałaby, żeby już zapadła noc, żeby już teść z mężem wrócili z wieczornej modlitwy. . Zrobią „hawdułe,“ teściowa zacznie się krzątać i łajać służącą, żeby czemprędzej herbatę podała, kartofle i barszcz ugotowała do „mławe-małko"...*) i ot, wtedy właśnie zarzuci chustkę na głowę i wyjdzie

*) ostatnia uczta w sobotę wieczór.

na przechadzkę niby... któż ją tam zauważy?... Im dalej, tem silniej serce jej bije; drży cała, jak w gorączce, nie widzi już nic przed sobą tylko drzewa z ogrodu na Monasterskiej, tylko Stempeniu z jego płomiennym ognistym wzrokiem, i nic nie słyszy, tylko śpiew ptasząt w ogrodzie, i grę Stempeniu, cudną jego grę... I rwie się jej serce do niego, rwie, i nic, zda się, nie w stanie powstrzymać ją.

XXI.

Ogień płonie.

Zaledwie zapadła noc, Stempeniu wysłał kapelę na jakieś wesele, a sam wziął skrzypce pod pachę, żeby Frajdla myślała, że i on się na to wesele wybiera. Po drodze skrzypce dał Mechci-Pajklerowi i poszedł na Monaszterską ulicę, gdzie miał się spotkać z Ruchełe. Że przyjdzie, nie wątpił wcale,— serce mu to mówiło; wreszcie dobrze to wyczytał z jej oczu wtedy, gdy kupowała u żony jego korale.

Stempeniu, jakeśmy to już nieraz zaznaczyli, miał wielkie w tych sprawach doświadczenie, kochał się bowiem w życiu tyle razy, tyle razy składał przysięgi miłosne! Przyznać jednak należy, że nie był on tuzinkowym uwodzicielem. Gdy przysięgał której, że ją kocha, nie kłamał bynajmniej,

nie miał zamiaru oszukać, okłamać i obałamucić, — nie, on kochał wtedy szczerze, uczciwie, serdecznie, jak tylko kochać można i należy.

Jedną miał tylko wadę — krótką pamięć. Ale serce za to miał dobre i szlachetne.

— Stempeniu—prosi go ktoś—Stempeniu, serce moje, wy przecież w wielkich jesteście łaskach u „puryca”, możebyście się za mną wstawili, żeby dał arendę zięciowi mojemu?...

— Ależ, z największą przyjemnością! pytanie, czy ja jestem w łaskach u „puryca”? on by za mnie Bóg wie, czego nie wziął! a cóż dopiero mówić o niej, o żonie jego? —ta to już wszystko by dla mnie zrobiła! Owszem, możecie być pewni,—wszystko będzie w porządku.

Gdyby tylko Stempeniu nie zapomniał, wystarałby się niezawodnie o arendę i mógłby inne większe jeszcze przysługi wyświadczać. Ale cóż, kiedy miał krótką, bardzo krótką pamięć?

A ponieważ każdemu przyrzekał, niepodobieństwem wprost było, by wszystkim słowa dotrzymywał.

To samo działo się i w kwestjach sercowych; Stempeniu nie myślał o okłamywaniu panien i wprowadzaniu ich w błąd. Ponieważ jednak każdej obiecywał żenić się, dla-

tego nie wziął żadnej i dopóty rozjeżdżał po świecie kawalerem, aż nie wpadł w .idła Frajdli. Stempeniu był człowiekiem dobrym, ale lekkomyślnym i miękkim, że czem ciasto świeże. Nic więc dziwnego, że Frajdli udało się w zupełności zapanować nad nim i pokierować według swej woli. Z pokorą baranka zgadzał się na wszystko cokolwiek postanawiała, nad wszystkiem pozwolił jej panować, wszystkiem zawładnąć, z wyjątkiem tylko swego serca! Serca swego, uczuć, pozostał panem, panem w całem znaczeniu tego wyrazu. Kto się ośmieli zabronić mu kochać, lub nienawidzieć? kto się ośmieli zabronić mu widywać się z Ruchełe, w której się rozkochał jeszcze na weselu u Chaima,—kto?... Frajdla? Ależ, cóż to ją obchodzi?— ona po za koralami i zastawami niczem więcej się nie interesuje... Ot, idź na wesele, przynieś jej kilka rubli —to dla niej najważniejsze! A wreszcie—cóż go Frajdla obchodzi?... dość już ma tego jarzma!... I Stempeniu przychodzą na myśl wszystkie przykrości, jakich doznał od dnia ślubu, i myśli jego ponure stają się coraz ciemniejszemi...

— Obliczę się z nią, z tą megerą moją!— myśli Stempeniu;—niech tylko Ruchełe wyjdzie tu do mnie, o wszystkiem z nią pomówię, wszystko przed nią wyjawię, serce mo-

je zgorzkniałe przed nią otworzę, opowiem jej, jak ją od pierwszego wejrzenia pokochałem, jak bez niej żyć nie mogę!... i już razem obmyślimy plan, jak to się naszych więzów pozbyć! Ja ją nauczę, tę megerę wstrętną, odemszczę się za wszystkie czasy —dam jej rozwód, albo ją tak porzucę! poczekaj, poznasz mnie dopiero!... niech tylko Ruchełe wyjdzie do mnie... Ona przyjdzie, ona musi przyjść... wszystko jej wyjawię, całą jej prawdę opowiem, i razem obmyślimy plan, jak ona ma pozbyć się tego łapserdaka w aksamitnej czapce i zostać moją, moją, moją na zawsze!...

Stempeniu tak się zapalił, że nie zauważył wcale, że po tamtej stronie ulicy przesuwa się jakaś postać w białej chustce na głowie i idzie prędko, oglądając się na wszystkie strony; chustkę nasunęła niemal na oczy, niespokojnie się ogląda i widać kogoś czeka... Nagle zatrzymała się i zbliżyła się do Stempeniu z temi słowy.

— Jakiem prawem, pytam was, ośmieliliście się...

— Oj, przestraszyłaś mnie, Ruchełe!... nie mów mi, Ruchełe, „wy", ale „ty"!... — odparł Stempeniu i ujął ją czule za rękę, patrząc jej w oczy. Ruchełe zobaczyła w oczach jego ten sam błysk, jaki bił z gwiazd owej pięknej nocy letniej...

Wszyscy żydzi w Mazepówce już byli po „hawduli" i wyśpiewywali „Eliuhi", wzdychali, suszyli już głowę, skąd by na chleb wziąć jutro, życzyli sobie szczęścia owego bogobojnego człowieka, który spotkał proroka Eljasza i przywitał go. Kobiety zdejmują ze siebie szaty sobotnie i biorą się biedne do roboty. Słowem, Mazepówka zajęta żegnaniem soboty, i nikomu na myśl nawet nie przychodzi, że w owym właśnie czasie Ruchełe, synowa Dwosi-Małki, stoi na ulicy ze Stempeniu i rozmawia z nim jakoś wcale nie o żydowskich rzeczach... I tylko gwiazdy na niebie, co z góry spoglądają, tylko wysokie topole i ptaki w ogrodzie, które prowadzą ze sobą głośne rozhowory, widzą i słyszą wszystko... tylko one wiedzą, że w czarowną tę noc letnią, pod cieniem drzew na Monasterskiej ulicy, Ruchełe zapomniała, kim jest i jakie ma obowiązki. Tu na łonie cudnej natury jest jej jakoś dziwnie dobrze; strach, który ogarniał ją przedtem, teraz zupełnie ustąpił... tak jej dobrze, lekko, i tak czuje się swobodną, jak ptak, dopiero co z klatki wypuszczony...

Stempeniu przysunął się bliżej ku niej i ujął ją za ręce; Ruchełe zadrżała, chciała się w pierwszej chwili usunąć, nie uczyniła tego jednak... utkwiła wzrok w Stempeniu, i z oczu jej popłynęły dwie łzy.

— Czemu płaczesz, Ruchełe? — zapytał Stempeniu.

— Ach, Stempeniu, tak mi tu dobrze, tu... obok was, obok... ciebie, Stempeniu! dlaczego ja nie jestem... dlaczego nie jestem lepiej ot tamtą, która się tak targowała, sprzedając korale!...

— Ot, to mnie boli właśnie, duszo moja!—odpowiada Stempeniu, obejmując Ruchełe.— Ot, to mi właśnie najstraszniejszy ból sprawia, że nie ty jesteś moją... ja przecież ciebie tak kocham, że umieram, konam... gdy ciebie nie widzę, życie dla mnie niczem! Powiedz mi, Ruchełe, skarbie mój, złoto moje, duszo moja,—prawda, że ty jesteś moją?

— Cóż znaczy „twoja"? Jakżeż ja, Stempeniu, mogę być twoją?

— Tak, jesteś moją, serce, duszo, skarbie mój, bo ja jestem twoim na wieki, na zawsze, do grobowej deski... tak, złoto moje!

— Benjamin również tak mówił, też przysięgał, pomimo to w końcu...

— Cóż to za Benjamin?--zapytał Stempeniu, patrząc jej w oczy ze zdziwieniem, jak się patrzy na dziecko, gdy się nagle z głupstwem wyrwie. — O jakim ty Benjaminie mówisz?

— Benjamin, brat przyrodni Chai-Etli; przyjaciółka moja, Chai-Etla miała brata przy-

8

rodniego, Benjamina, który obiecał, że się z nią ożeni, i przysięgał na wszystkie świętości,—tymczasem... ach, jak ona biedna źle skończyła... ona przecież już nie żyje, biedaczka!... ale Benjamin był dla niej wszystkiem, całem życiem!... Biedaczka stoi mi teraz przed oczyma i, zdaje mi się, że widzę ją i słyszę, jak mówi: „O nie wierz im nigdy, im wierzyć nie można!”...

I Ruchełe opowiada dzieje przyjaciółki swojej, Chai-Etli, a Stempeniu głaszcze ją i obejmuje, całuje jej ręce,—a Ruchełe opowiada wciąż smutne dzieje przyjaciółki, o tem, jak szalenie kochała Benjamina i jak w końcu zgasła, jak świeca, z żalu po nim...

Chai-Etla nie żyła już od kilku lat, ale Ruchełe dobrze ją pamięta... teraz zdaje jej się, że widzi ją w koszuli śmiertelnej... ot tam stoi, patrzy się tak dziwnie i grozi jej palcem, wskazując na Stempeniu, jak gdyby pytała zarazem: „co ty robisz?”

— Ależ na co ci to, duszo, serce, skarbie mój? po co wspominać tak smutne rzeczy, w dodatku w nocy? spójrz lepiej na mnie swemi pięknemi oczyma, które świecą, jak dwa brył...

Nie zdążył skończyć, gdy Ruchełe wyrwała mu się nagle z objęć z taką siłą, że jej zatrzymać nie był w stanie.

— Boże mój! Ruchełe, co ci się stało? -Chciał ją znowu porwać w objęcia, lecz usunęła mu się, drżąc na całem ciele i szepcząc niezrozumiałe wyrazy:

— „Widzisz? ot tam... ot tam stoi, patrzy się na mnie... patrzy...

— Kto stoi? gdzie kto stoi? co pleciesz, dziecko, duszo moja? gdzie? co? chodź, serce, do mnie, nie lękaj się, duszo, skarbie drogi!...

— Aj, puść mnie, puść, Stempeniu! Puśćcie mnie!... widzicie?.. ot tam stoi biała... ach, Chai-Etło!... Oj, puśćcie mnie, puśćcie!., ach, jakiem prawem?. — puśćcie... dobrej nocy!... dobrej...

I Ruchełe nagle znikła.

Gdy wróciła do domu, zastała całe towarzystwo, przy stole, zajęte poważną rozmową o interesach, jak to we zwyczaju u żydów, by zejść się gdzieś w sobotę wieczór dla pogadania o handlu, o interesach, o jarmarku jutrzejszym i innych rzeczach.

— Jutro nie otworzę kramu na jarmarku —odzywa się otyły żydek—niech te jarmarki djabli wezmą! o, o znam ja się na tem dobrze, zęby na tem zjadłem — tylko się z nich ma zmartwienie i nic więcej!

— Dlaczego? ciekawam, dlaczego to mówicie?—odpowiada Dwosia-Małka, —Nie ro-

zumiem, co wy macie do jarmarków, reb Idel?—w zeszłym tygodniu widziałam u was tylu kupujących, że życzyłabym wszystkim kupcom żydowskim takiego powodzenia! nie małoście chyba wtedy pieniędzy utargowali...

— Jabym sobie tylko życzył takiego targu, jaki mieliśmy zeszłej niedzieli— odzywa się Mojsze-Mendel, przeglądając rachunki,— po co mamy ukrywać? daj nam Boże, codzień tak.

— To właśnie cała rzecz, że wy, Dwosia-Małka—mówi reb Idel—nie chcecie wierzyć nikomu; gdy widzicie, że zajdą do sklepu chłopi, przerzucą cały towar i nic nie kupią, to wam się zdaje, że Bóg wie, ile się targowało.

— Wiecie co, reb Idel?— odzywa się jakiś młody zezowaty żydek, — rzućmy lepiej te rozmowy o jarmarku, a pogadajmy o czem innem.

I towarzystwo zaczyna mówić o rzeczach ciekawszych, poważniejszych, — o rajskich jabłkach na nadchodzące święta, o zajściach w synagodze i, naturalnie, o wojnie... Wszyscy mówią, rozprawiają, palą papierosy; z samowaru unosi się para i napełnia cały pokój; w piecu pali się; gotuje się barszcz i gęś do uczty.

— Gdzie byłaś, Ruchełe?, — zwróciła się

Dwosia-Małka do synowej.

— Tam... na Monasterskiej ulicy...

— I jak tam na dworze? ładnie przynajmniej, co? żeby nam Bóg dopomógł i dał pogodę przez wszystkie jarmarki!... Ale co ci jest córko? co, głowa cię boli?—jakaś ty blada! możebyś się położyła trochę i odpoczęła...

Wszyscy zaczęli się kolejno przyglądać Ruchełe i doszli jednogłośnie do przekonania, że musiała zostać zaczadzoną dymem od samowaru. Ruchełe udała się do swojego pokoju, a całe towarzystwo zaczęło tymczasem rozmowę na temat czadu... Zdawałoby się: czad—głupstwo, nic nie znaczące, jednakże pomimo to całe życie człowieka nie raz... Jeden opowiedział historję, jak to u jego dziadka wszyscy omal nie umarli z tak błahego powodu. Drugi opowiedział jeszcze ładniejszą historję, że u jego wuja wszyscy omal nie zostali otruci rybą. Trzeci opowiadał jeszcze ładniejsze historje o „łecach”, złych duchach, wiedźmach; wreszcie zaczęto szeroko rozprawiać o śmierci.

— O czemby się nie mówiło, zawsze rozmowa skończyć się musi na śmierci— odezwał się ktoś.

— „Eliohu hanowi”... trzeba zobaczyć, co tam „Eliohu hatyszbi”... żona porabia... „Eliohu hagilodi”...—powiedział Mojsze-Mendel,

i przyśpiewując sobie modlitwę wieczorną, wstał od stołu i udał się do pokoju Ruchełe.

XXII.

Ruchele nawraca się na drogę cnoty.

— Gwałtu, żydzi, ratujcie!— dobiegł nagle głos, wychodzący z pokoju Ruchele i wszyscy wbiegli do pokoju, gdzie leżała na łóżku a przy niej stał Mojsze-Mendel blady jak śmierć.

— Co jest? co się stało? zemdlała? wody, wody dajcie prędzej!

— Wody, wody, wody dajcie prędzej!— zaczęli wszyscy krzyczeć, nie ruszając się z miejsca.

— Oj, nieszczęście mi się stało! — krzyczała Dwosia-Małka, przyniosła kwartę wody i, nabrawszy pełne usta, opryskiwała Ruchele.

— Zawołajcie felczera!—krzyknął Mojsze-Mendel nie swoim głosem.

— Felczera! felczera czemprędzej zawołajcie!—krzyczeli wszyscy, spoglądając jeden na drugiego.

— Trzeba jej ręce związać i mocno ścisnąć za nos!

— Za nos! tak, za nos! nos ściskać!—wołali znów wszyscy, nie ruszając się z miejsca.

— O tak, tak, Dwosia-Małko! tylko moc-

no, mocniej, jeszcze mocniej! — zachęcali goście Dwosię-Małkę, która robiła, co mogła: ściskała, lała wodę i targała ją dopóty, dopóki się Ruchełe nie ocknęła... Ocknąwszy się usiadła na posłaniu, obejrzała się, jakby we śnie, i zapytała: gdzież ja jestem?... och, gorąco mi, gorąco!

— Rozejdźcie się lepiej, rozejdźcie się! — wołała Dwosia-Małka i wyprosiła wszystkich do drugiego pokoju; — pozostala tylko ona i Mojsze-Mendel, z którego Ruchełe oka nie spuszczała.

— Co ci się stalo, córko droga? — zapytała teściowa.

— Co ci jest, Ruchełe? — zapytał Mojsze-Mendel, schylając się ku niej.

— Niech Mama wyjdzie ztąd — rzekła Ruchełe półgłosem.

— Mamo, wyjdź z łaski swojej! — powiedział Mojsze-Mendel i wyprowadził matkę z pokoju.

— Powiedz mi, co ci jest, duszo moja? — zwrócił się do niej Mojsze-Mendel po raz pierwszy z wielką czułością w głosie.

— Oj, Mojsze-Mendel, przysięgnij, że nikomu nie powiesz, że to między nami pozostanie; powiedz, czy przebaczasz mi to, co względem ciebie uczyniłam, że tak brzydko postąpiłam... zapomniałam ciebie, Mojsze-Mendel, zapomniałam, że jestem twoją...

gdyby nie Chaja-Etel, pokój jej duszy, gdyby Chaja-Etla nie przypominała mi... ach Mojsze-Mendel najdroższy!...

— Zastanów się, Ruchełe, co ty pleciesz? mówisz z gorączki!... jaka Chaja-Etel? co za...

— To moja przyjaciółka, Chaja-Etel, pokój jej duszy, już od dość dawna nie żyje... kilka razy we śnie ją widziałam... ale teraz... ach, Mojsze-Mendel... schyl się ku mnie... ot tak, tak... ja się boję...

I Ruchełe coraz bliżej się przysuwa się ku mężowi, aż w końcu spoczęła cała na jego rękach.

Ciemno. Tylko jasny promień światła przez drzwi wpada do pokoju, gdzie Mojsze-Mendel z Ruchełe zaledwie mogą się widzieć... oczy ich się spotkały i błysnął w nich płomyk, ot ten płomyk, który spostrzedz można u zakochanych przy pierwszem spotkaniu, kiedy to nie ustami, lecz sercem rozmawiają, kiedy to nie ustami, lecz oczyma się porozumiewają.

— Powiedz mi, najdroższy mój Mojsze-Mendel, czy ty mnie doprawdy kochasz?

— Pytanie, czy ja ciebie kocham? — odpowiada Mojsze-Mendel, mrucząc pod nos „Eliohu“ i kiwając się na wszystkie strony.— „Tak mi się w serce wpiekłaś“ jak... sam nie wiem co... jakbyś własną moją była, tak mi się w serce wpiekłaś!...

Inaczej wyrazić miłości swej nie potrafił, ale wierzyć mu można, że mówił to szczerze, całem sercem, a może szczerzej od tych, co uczucia swe w tak piękne słówka ubrać umieją.

Pozostawmy jednakże naszą szczęśliwą parę, która dopiero rok po ślubie miała okazję pozostać samą i wynurzyć przed sobą wszystko, co na sercu miała. Szczęśliwa nasza para w rozczuleniu zapomniała zupełnie, że tam w dużym pokoju siedzą goście, i w dodatku mężczyźni, i Ruchełe zaczęła półgłosem nucić jakąś piosenkę, a Mojsze-Mendel głaskał ją, tulił i do serca przyciskał.

Oj, ot tam, oj, ot tam
Daleko, daleko
Gołąbków stoi para...
Kochają się, całują się,
Lecz o czem prawią, nie wiem, nie!
Kochają się, całują się...

— Słyszysz, Ruchełe, — odzywa się Mojsze-Mendel,—gdy ty śpiewasz twoje piosenki, Ruchełe, to mnie pół życia przybywa; tak mi wtedy dobrze, jakby mnie kto tu, przy sercu, masłem smarował.

— Jeżeli tak, Mojsze-Mendel, to mam do ciebie wielką prośbę.

— Naprzykład, co to może być za prośba? powiedz, Ruchełe—dla ciebie wszystko uczynię.

— Dosyć już Mojsze - Mendel, byliśmy my na stole u rodziców twoich. Mamy przecież, dzięki Bogu, trochę pieniędzy, jedźmy więc to mojego miasta, do Chmielnika... tam pomiędzy przyjaciółmi i krewnymi będzie mi dobrze z tobą... będziemy nareszcie mogli być sami ze sobą... zbrzydło mi już być na stole...

— Dobrze, jak dla mnie, to owszem... możemy nawet zaraz w przyszłym tygodniu!...

— Jaki ty dobry, Mojsze-Mendel!—Ruchele przysuwa się jeszcze bliżej ku niemu, całuje go i śpiewa dalej,

Całują się, ściskają się,
Lecz o czem prawią nie wiem nie...
Całują się ściskają się...

— Zobaczysz, Mojsze-Mendel, jak nam będzie dobrze będziemy sobie razem siedzieli, sami,—ja będę gospodynią, będę cię strzegła jak źrenicy... Ach Mojsze Mendel, ty taki zawsze jesteś dziwny dla mnie, nigdy mi czułego słowa nie powiesz! Ale dziś jesteś inny, zupełnie inny.

Tymczasem w dużym pokoju mężczyźni rozprawiają i sprzeczają się na temat, co mogło synowej reb Ajzyka-Naftuli zaszkodzić. Jeden utrzymuje, że to urok; drugi zapewnia, że to z zaziębienia, tylko z zaziębienia; trzeci znowu, człowiek w starszym

wieku, który ma już kilkoro dzieci wydanych, stawia taki wniosek:

— Posłuchajcie mnie, mam, dzięki Bogu trzy synowe, to się już cokolwiek na tem mogę znać! Otóż powiadam wam: reb Ajzyk-Naftuli powinien szykować piernik i wódkę na chrzciny... Dwosia-Małko, „mazeł-tow!” —szczęść wam Boże! synowa wasza... ja wam powiadam, możecie mnie wierzyć... Nie wstydźcie się tak, Dwosia-Małko, to nic nie szkodzi, owszem, to jest żydowska rzecz...

Dwosia Małka roztapia się w zachwycie, —już dawno tego pragnie!

— Ny, ny! — odpowiada z udanym gniewem,— wy to zawsze tylko żarciki lubicie... No, trzeba lepiej zobaczyć, jak tam z tym barszczem... zadługo mi jakoś to wszystko trwa dzisiaj...

XXII.

Po roku.

Był to ostatni wesoły wieczór sobotni w domu reb Ajzyka-Naftuli. Teraz, gdy rok od tego czasu upłynął, spotykamy w domu reb Ajzyka tych samych wprawdzie gości, taki sam barszcz i gęsinę, ale niemasz już tam tej wesołości, tego humoru, co dawniej.

— Skąd to do was, Dwosia-Małko, prze-

cież wy bogobojną żydówką jesteście... ktoż to słyszał, żeby w sobotę wieczór płakać?

— Oj, gwiazdka moja najjaśniejsza, najdroższy mój ptaszek odleciał odemnie!..

— Ależ na Boga, zastanówcie się, Dwosia-Małko, przecież Ruchełe nie umarła, uchowaj Boże! Przecież jest u swoich rodziców,—cóż w tem złego? ten sam Bóg, który jest w Mazepówce, jest i w Chmielnicku... na cóż tu płakać? i dlaczego akurat teraz, w sobotę wieczór?

— Oj, wy nie macie pojęcia, co to był za gołąbek kochany! pomiędzy tysiącami synowych takiej drugiej nie znajdziecie! była mi drogą, jak własna córka, myślałam, że tak wiecznie będzie u mnie.... tymczasem...

— Wiecznie? czyż można powiedzieć — wiecznie? Wiecznym jest tylko Bóg, a reszta to błoto, błoto i błoto, Dwosia-Małko! Ale reb Ajzyk-Naftuli, co to się doprawdy stało, żeście tak dzieci puścili, przetrzymawszy ich zaledwie rok na stole u siebie? Nie, reb Ajzyk, to doprawdy niesłyszane rzeczy.

— Oj, dajcie mu biednemu spokój!—ujęła się za niego Dwosia-Małka,— Ajzyk-Naftuli tyle tu winien, co ja, a ja, co Ajzyk-Naftuli. Małośmy się to nabłagali: „pozostańcie lepiej, dzieci, u nas—przy dwóch to się i trzeci wyżywi"... ale, ani słyszeć nie chcieli, tylko Chmielnick i Chmielnick. Rób, co

chesz, nic nie pomoże! albo ja wiem, mnie się zdaje, że dosyć dla niej zrobiłam, dla synowej mojej... dla własnego dziecka nie potrzeba więcej...

Dwosia-Małka ociera nos fartuchem i pocieszyć się nie daje.

— Niech już będzie dosyć tego płaczu, Dwosia-Małko! — krzyczy reb Ajzyk-Naftuli, —wszystko musi mieć koniec!.. pokaż-no lepiej ten liścik od Mojsze-Mendla, zobaczymy, co on tam pisze... czytajcie, reb Idel!..

— Niech on lepiej przeczyta,— odpowiada reb Idel, wskazując na stojącego obok młodego człowieka, który bierze liścik i zaczyna czytać.

,,Pokoju i wiecznego dobrobytu kochanemu ojcu mojemu, erudycie, reb Ajzykowi-Naftuli, synowi reb Mojsze-Józefa bł. p.— i matce mojej bogobojnej, cnotliwej, kobiecie dzielnej, niczem Ester i Abigaił, niewieście cnót wszelakich i pięknego rodu, Dwosi-Małce córce Mnachem-Mendla bł. p. — i wszystkim w domu pokój i pozdrowienie!

„Jak świeci słońce wśród ciemnych chmur na przestrzeni niebios tam wysoko pomiędzy...

— Nie, nie!—krzyczą wszyscy,— nie, tego nie potrzeba czytać... to nic, głupstwo, porównania, bajka, zabawka młodego czło-

wieka... czytajcie dalej na odwrotnej stronie.

„Co zaś do tego, drogi ojcze, o co mnie zapytujesz, jak tu z zarobkami w Chmielnicku, to zawiadamiam cię...

— Ot, to właśnie! o to nam idzie!—odpowiadają wszyscy z zadowoleniem,—no, czytajcie, czytajcie dalej.

„zawiadamiam cię, że najwięcej idą tu towary łokciowe, no i galanteryjne, ale galanteryjne nie tyle co łokciowe; kolonialne towary, to też niezły interes u nas, zupełnie tak, jak u was w Mazepówce; towary wełniane są tu bardzo drogie. Ale żydzi mają się tu dobrze i, chwalić Boga, zarabiają; wogóle Chmielnick jest błogosławioną ziemią. Miasto jest tak duże, że aż strach! to zupełnie inny świat, aniżeli Mazepówka, —możecie tu spotkać takich żydów, że nigdybyście w życiu nie uwierzyli, że to żydzi; handlują tu także kotami, tu wszystkiem handlują; a także Ruchele, żona moja, kazała wam wszystkim się kłaniać; ona jest dzięki Bogu znowu w odmiennym stanie i Bóg dopomoże, że szczęśliwie przejdzie, będziemy się wszyscy cieszyli, i obym o was miał też najlepsze wieści, — amen! Zawiadamiam was także, że sklep, który wynająłem, znajduje się na samym froncie i targ też, chwalić Boga, jest niezły; żona

moja Ruchełe, oby żyła, nauczyła się już tego rzemiosła i umie już mówić z kupującym, ale na jarmarki jadę zwykle sam i mam, dzięki Bogu, kredyt u „Foni" (russkich) na kilkaset rubli; z nimi jest dość dobrze handlować, oni sprzedają sumiennie i lubią żydowskich kupców. Mieszkania są tu bardzo drogie: za dwa alkierzyki z kuchnią płacę tu 65 rubli rocznie, nie licząc wody i opału, słoma, kartofle, drzewo i jajka są tu bardzo drogie, złotem trzeba za to płacić. Pozatem zajmują się tu także żydzi faktorstwem; żydów faktorów jest tu bardzo wielu i, dzięki Bogu, zarabiają bardzo uczciwe pieniądze—słowem, Chmielnick jest miastem zarobkowem i, daj Boże od was słyszeć częściej to samo podług waszych życzeń.

Odemnie syna waszego, troskliwego o zdrowie wasze i szczęście, Mojsze-Mnachem-Mendla, syna reb Ajzyka-Naftuli z Mazepówki.

„Ukłony drogiemu wujowi i drogiej ciotce z całą rodziną.

„Ukłony bogaczowi reb Idłowi z całą jego rodziną.

„Ukłony bogaczowi reb Simchi-Hersz z. c. r.

„Ukłony bogaczowi reb Dojbrowi z. c. r.
„Ukłony bogaczce Stysi-Bajli z. c. r.

Syn mój Josef (oby żył!) zasyła wam wszystkim serdeczne ukłony.

Ten sam.

„I ja też zasyłam serdeczne ukłony wysoce poważanej teściowej mojej i teściowi. Donoszę wam o zdrowiu mojem, oby dał Bóg, żeby się nie pogorszyło! Josele mój również się wam kłania i dziękuje teściowej (oby żyła!) za przysłaną mu koszulkę; przyrzeka wam za to, że jeżeli Bóg pozwoli mu żyć, to za jakie 3—4 lata zacznie chodzić do chederu i będzie tam dobrze się uczył i zostanie uczciwym żydem, daj mu Boże długie lata! Teściowo kochana, jeżeli teraz możecie zrobić dla Josele jarmułkę i trzewiczki z włóczki, to byłabym wam bardzo wdzięczna, ponieważ jestem bardzo zajęta w sklepie, a mamki dla Josele przyjąć nie chcę. Powiadają, że dla chłopca to niedobrze przyjmować mamkę, bo będzie miał uchowaj Boże, tępą główkę. Przyjęłam tylko dziewczynę i płacę jej 2 ruble półrocznie, to mi kołysze dziecko i pędzi krowę na pastwisko. Oj, powinniście wiedzieć, co ja za krowę kupiłam! — daje mi 4 kwarty mleka, ale co za mleko! i mam od niej dzięki Bogu wyborne masło i ser. Ale Mojsze-Mendel teraz jakoś nie lubi mlecznych potraw, nie wiem dlaczego... Jeżeli teraz będę miała z Boską pomocą

dziewczynkę, to jej dam imię po babci Rajzli, po waszej matce, teściowo, i ona się będzie nazywała Rajzla. Josele biedny krzyczy, chce nieborak jeść, kończę więc list i zasyłam ukłony wszystkim znajomym naszym i proszę o odpowiedź koniecznie jak najprędzej, i pozostaję kochająca was, życząca wam szczęścia i wszystkiego najlepszego, oddana wam synowa

Ruchla.

— No, — odzywa się tłusty Berel,—powiedzcie sama, Dwosia-Małko, czy macie jakikolwiek powód do płaczu, co?

— Nie, doprawdy grzeszycie Dwosia-Małko—odzywa się reb Idel,—dalibóg grzeszycie!

— Oj, co wy tam wiecie? — odpowiada Dwosia-Małka—czy wy macie pojęcie, co to był za złoty gołąbek! No, chwalić Boga, że im się dobrze wiedzie bez uroku, ale tak mi tęskno, reb Idel, tak tęskno, że zapomnieć o niej nie mogę!

I Dwosia-Małka zaczyna wyliczać reb Idlowi wszystkie zalety i cnoty synowej, chcąc dowieść, dlaczego to właśnie zapomnieć o niej nie może. Całe towarzystwo rozmawia i rozprawia o Chmielnicku, o rodzajach zajęcia w Chmielnicku... Tymczasem każdy potrochu przybliża do siebie karafkę, piją „łchaim“, życząc sobie wzajemnie wszyst-

kiego najlepszego, a Dwosi-Małce, by synowa szczęśliwie przebyła... i żeby ogółowi żydów działo się dobrze, lepiej niż dotychczas!... Podają barszcz na stół, nęcąca jego woń rozchodzi się po pokoju... i wszyscy stają się weselszymi. Rozmowa wchodzi powoli na szerszę, ogólniejsze tory i zapominają o Ruchełe, o Mojsze-Mendlu, o Chmielnicku...

XXIV.

Stempeniu w piekle.

Jeden tylko człowiek doprawdy zapomnieć nie może pięknej Ruchełe. Czytelnik domyśla się chyba, że mówimy o Stempeniu. I ktoż w stanie opisać jego cierpienia, zgryzoty i zmartwienia!

— Jakże to mnie nie ma gniewać?—myśli sobie Stempeniu,—żeby mnie choć w jakikolwiek sposób o wyjeździe zawiadomiła... żeby mi choć kilka słów napisała!...

Coś podobnego nigdy go jeszcze nie spotkało, chociaż niejedno mu się w życiu już zdarzało.

Bo też trzeba wiedzieć, co to jest „córa żydowska"! Jak potrafi być wierną i oddaną mężowi; jak potrafi panować nad sobą; żydówka wie, że nie wszystko, co oku miłem się wydaje, serce pożądać winno, a gdy widzi, że mąż innej jest ładniejszy, lepszy, bardziej zajmujący od jej męża, potrafi

to sobie łatwo wyperswadować, pocieszając się „no, nie wszystko złoto, co się świeci“.

Stempeniu, który najpiękniejsze lata swoje przepędził pomiędzy kobietami, wiedział o tem dobrze, bo nieraz spotykał się z takim uporem, z taką stałością... Ale o podobnej konfuzji, na jaką naraziła go Ruchele, pojęcia nie miał.

— Oj, jak mi tęskno po niej, jak mi tęskno!—mawiał nieraz do kompanji swojej. —Myślę żeby może pojechać do Chmielnicka, i pojechałbym gdyby nie.... gdyby nie....

Stempeniu ogląda się na wszystkie strony, a kompanja wie dobrze, kogo on szuka wzrokiem. Kochali go bardzo, gotowi byli dla niego w ogień, lub wodę skoczyć, ale za to Frajdlę nienawidzili, ile tylko nienawidzieć można.

Dopóki Stempeniu był kawalerem, — mawiali nieraz pomiędzy sobą — można się było przy nim pożywić, rubel nie grał u niego najmniejszej roli; ale teraz gdy, ta megera wzięła go w obroty, sam biedaczysko, chodzi bez grosza. Minęły już dawne lata, a z niemi wesołe kolacyjki u Stempeniu. A teraz choćbyś go powiesił, grosza przy duszy nie ma, sam nie raz głodny... A ona, ta megera, żeby choć kiedy człowieka czem poczęstowała, żeby choć cośkolwiek kiedy

zjeść dała, — ażeby ją robactwo jadło! Wierzcie. bywa nieraz, że jeść się chce, jak psu, a gdyby nawet położyła coś przed tobą, też byś nie jadł!.., któżby tam przyjął co od takiej żmiji?

— Jak on też żyć może z jaszczurką taką! ja bym ją do stu djabłów otruł, albo utopił, jak mnie żywego widzicie!

— Aj, Stempeniu, Stempeniu, ładnie cię tą żoną ubrali!

Tak mówią do niego „klezmerzy”, którzy szczerze mu spółczują i dobrze go rozumieją, choć nigdy z nimi o tem nie chce mówić.

Gdy Frajdla zajęta na targu—jeszcze pół biedy!— Stempeniu częstuje kompanję papierosami, siedzą, palą, rozmawiają, dowcipkują... Ale ot wchodzi Frajdla i wszystkim odrazu niemiło się jakoś robi, i zaczynają się jeden po drugim wysuwać z pokoju.

— Patrzcie no, patrzcie, jak nakurzyli, jak w karczmie! odzywa się Frajdla, pociągając nosem i zaglądając do próżnej prawie paczki tytoniu,—tylko palić i palić! już mnie głowa rozbolała od tych waszych papierosów... rozchoruję się jeszcze przez was! Myślisz, Stempeniu, że to tak zdrowo dla ciebie tyle palić! możesz mi wierzyć, że to ci tylko szkodzi!

— Co ci tam, Frajdlo, po mojem zdrowiu? powiedz lepiej, że ci szkoda złotówki na tytoń... na co te kawały?

— Jak to się wam podoba? — ja myślę o jego zdrowiu, a on mi o jakichś kawałach opowiada! Masz tobie, jeszcze mi tego brakowało!... mało się dziś naharowałam, namęczyłam, mało sobie krwi napsułam, mało mnie zwymyślano, z błotem mnie mięszano... a towar leży i gnije.

— Ciekawy jestem bardzo, Frajdlo, czego ty tak skąpisz, czemu tak składasz grosz do grosza, co, chcesz dla dzieci zebrać?..

— Patrzcie no go, jakie mi wymówki robi? cóż to ja dla matki mojej zbieram, czy co? albo zjadam może to wszystko, co? obżartuch jestem, hultajka iestem, co, Stempeniu?

— Alboż ja mówię, że rozrzutna jesteś, przeciwnie ty zabardzo...

— Ty mówisz, ty mówisz... ja wiem, co ty chcesz powiedzieć. Boże mój! i ty możesz się jeszcze uskarżać? i ty możesz jeszcze narzekać, ty coś dostał żonę, która z grosza potrafi dwa zrobić i ciągle myśli tylko o tem, czy ci czasem nie potrzeba tego, albo owego? no, owszem powiedz, Stempeniu, czego ci brak u mnie? no, powiedz, nie wstydź się... co? milczysz? ciekawam tylko, cobyś

ty robił i coby się z tobą działo, gdybyś mnie nie miał.

— O—wa!

— Żebyś ty wiedział... cóż to, zapomniałeś już, jak wyglądałeś przed weselem—bez koszuli na ciele, ani poduszki, ani poszewki, słowem nic... a przecież kupę pieniędzy zarabiałeś.. gdzieżeś to wszystko podziewał, co?

— Ani mi się śni zdawać tobie rachunki z tego, co robiłem z pieniędzmi za czasów kawalerskich.

— O to właśnie mi też chodzi, że ty nie lubisz, gdy ci prawdę w oczy mówią, a ciągle masz pretensję do mnie za to chyba, że męczę się, haruję, oszczędzam, głowę sobie suszę, zabijam się, i to dla kogo? dla ciebie przecie... za co?— sama nie wiem... postawisz mi może za to złoty pomnik, co?... oj, biednaż moja głowa, oj...

— Patrzcie, już się rozbeczała! cóż ja ci takiego powiedziałem? czem ja tak zgrzeszyłem przed tobą? mówię tylko...

— Oj ty swoją mową możesz człowieka zabić! oj te twoje piękne słówka! inny gniewa się, bije, łaje, a ty swojemi dobremi słowami potrafisz bardziej jeszcze człowieka zgnębić.

— Cóż ja ci takiego zrobiłem, Frajdło? czego ty się czepiasz?

— I cożeś miał mi zrobić?—ty mi dosyć zrobiłeś!... wziąłeś z domu młode dziecko, delikatną panienkę, ująłeś ją przewrotnym językiem swoim, obiecałeś mi złote góry, okłamałeś mnie... I czegożby mi brakło, gdybym ciebie nie była poznała?—znalazłabym sobie odpowiedniejszego, i byłoby mi lepiej... wielkie szczęście mnie z tobą spotkało, Stempeniu?

— No, może żałujesz, żeś za mnie poszła, Frajdlo?—jest przecie w Mazepówce rabin... rzeka też jest...

— Aa? to o tem myślisz? nareszcie, nareszcie przyznał się! ty myślisz może, że ja o tem nie wiem, że pragnąłbyś się mnie pozbyć? o wiem, wiem oddawna, mnie nie oszukasz. Ale powiedz mi, Stempeniu, czego ty właściwie chcesz odemnie? co ja ci takiego zrobiłam? no, powiedz, Stempeniu, niech ja wiem przynajmniej...

— At!—odpowiada Stempeniu, i wszedłszy do swojego pokoju, bierze skrzypce. Skrzypce—to cała jego pociecha, jedyny przyjaciel i powiernik, przy którym zapomina o zmartwieniach i piekiełku swojem, a wspomina minioną młodość i swobodę, utraconą na zawsze, na zawsze. Przed oczyma jego przesuwa się cały szereg postaci, drogich sercu, które się ukazują i za chwilę znikają. Ze wszystkich tych postaci żadna nie wy-

wiera na nim takiego wrażenia, jak piękna Ruchełe o niebieskich oczach, długich rzęsach, alabastrowej szyi, z tym dobrotliwym uśmiechem, za który chętnie życieby oddał!

I Stempeniu gra i gra, gra długo, żeby dłużej zatrzymać przed oczyma wyobraźni cień pięknej Ruchełe.

XXV.

Koniec Stempeniu.

W owych czasach grał Stempeniu, jak nigdy; w owych czasach gra jego, śmiało rzec można, doszła do zenitu doskonałości.

Podobnie jak ptak w klatce zamknięty śpiewa, marząc o utraconej wolności, swobodzie, tęskniąc za światem wolnym, za wonnem powietrzem, i otwiera przed nami serce zgorzkniałe... tak Stempeniu wylewał duszę na skrzypeczkach swoich, rozraniając blizny niezagojone..

— Ach, pojęcia nie macie, jak tęsknię za nią—powtarzał kompanji po raz chyba już setny — pojechałbym do Chmielnicka, gdyby nie...

Ogląda się na wszystkie strony i wzrok jego spotyka Frajdlę, która stoi nieopodal i targuje się z kupującą.

Frajdla powoli urządziła u siebie w domu cały kram i została kupcową, formalną już kupcową.

Dość często odwiedza ją matka, Cypora, która opowiada zazwyczaj, że Jeszajka tęskni bardzo za córką i posyła ją gwałtem do Mazepówki, ażeby się dowiedziała, co Frajdla porabia i co słychać u niej. Ale Frajdla wie, że to kłamstwo, że co innego matkę do niej sprowadza, że żądna jest w domu kawałka chleba; przyjeżdża więc do córki, żeby się trochę podreperować, i „urządza sobie tutaj formalny połóg".

— Wiesz co, córko, warto żebyś upiekła takie bułki maślane, jakie ja dawniej robiłam, pamiętasz?—plecione, dużo masła i dobrze wysuszone, kruche... to do kawy bardzo zdrowe, a kto może strawić dużo masła w nich, to jeszcze lepiej. A na śniadanie, córko, każ przysmarzyć wątróbki gęsie z cebulką; ojciec, pamiętasz, nadzwyczajnie to lubi. — Zdrowia, córko, szukać należy w misce!...

I Cypora oblizuje się na samą myśl, wynajdując codziennie nowe smakołyki i potrawki,—a nie można powiedzieć, by Frajdla była z tego tak bardzo zadowolona. W pierwszym tygodniu jeszcze jako tako, ale zaraz w drugim zaczynają się sprzeczki i dąsy, aż w końcu kobiety całą złość wylewają na biednego Stempeniu, który wtrąca się często pomiędzy nie, chcąc je pogodzić.

— Nie twoja rzecz! ty się nie wtrącaj,— krzyczy Frajdla. —Niebój się, nie oddam matce twojego majątku,—nie bój się!...

— No, ładny zięć!—mówi teściowa z wyrzutem. U ludzi teściowej oddają honory, jakby własnej matce; przecież on, zdaje się, dobrze widzi, jakie ja mam przyjęcie u własnej córki, jak mnie traktuje... I żeby to się chociaż wstawił za mną. Też mi mąż! aby tylko grzempolić na tych skrzypcach; nie rozumiem jak to człowiekowi nie obrzydnie to grzempolenie! Boże mój! nie wiem, czemu ta córka moja tak się zabija... wielka mi sztuka... „jak kto ma szczęście, to mu się i wół ocieli!"... Widziało się już takich, jak ty... nie bój się, twój teść też był taki dobry skrzypek, taki dobry „klezmer", jak ty... tylko jak to się mówi, „nowa miotła dobrze zamiata"... Trzeba tylko mieć trochę szczęścia, bo „jak Bóg zechce, to i z miotły wystrzeli!" Gniewać się na mnie nie powinieneś za to, że ci prawdę mówię, Stempeniu,— chociaż, jak to się mówi, „każdy pies jest panem na swoich śmieciach," ale obcą ci przecie nie jestem, jednakże teściowa... a „jak się kto bawi z kotem, musi przyjmować i jego drapanie!"...

I Cypora zwyczajem swoim sypie przysłowiami, jak z worka dziurawego. Ale Stempeniu nie myśli nawet wysłuchać tego

do końca, bierze skrzypce... i zapomina o żonie, teściowej i o wszystkiem, co go w życiu boli i przygniata... I staje mu przed oczyma owa Ruchełe, owa piękna Ruchełe o niebieskich oczach.

— Oj, jak mi tęskno!— myśli Stempeniu, wysilając umysł na wyszukanie sposobu, by ją módz jeszcze raz zobaczyć, przywitać, uściskać...

Czcze marzenia! nie wie nieborak, że pieśń jego już skończona, że światek jego powoli w nicość się zapada,—i nie widzi wcale, jak włosy jego krucze szron już przyprószać poczyna, jak gaśnie płomień w oczach jego pięknych, a na blade czoło kładą się zmarszczki...

Głupi człowieku! nie zapominaj się, patrz u boku twego stoi Frajdla, ta twoja Dalila, która cię ukołysała, by pocichu obciąć ci krucze loki, a z niemi i siłę, całą moc twoją!...

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Druk Lepperta i S-ki, w Warszawie Elektoralna 8.